

**JOSE ORTEGA Y GASSET**

**BUNT MAS**

*przełożył*  
PIOTR NIKLEWICZ

Warszawskie  
Wydawnictwo  
Literackie  
MUZA SA

Tytuł oryginału: *La rebelion de las masas*

Projekt okładki: *Maciej Sadowski*  
Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*  
Korekta: *Magdalena Szroeder*

W projekcie okładki wykorzystano fragment obrazu George'a Grosza *Dla Oskara Panizza*

© Herederos de Jose Ortega y Gasset  
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2002  
© for the Polish translation by Piotr Niklewicz

ISBN 83-7319-092-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
Warszawa 2002

**Ripped by**  
**RAZIELITO**

Wszelkie kopiowanie i rozpowszechnianie mile widziane!

*Uwaga:*  
*W tekście ukryte są numery stron odpowiadające wydaniu książkowemu.*  
*Można je zobaczyć po włączeniu opcji „pokaż wszystko”.*  
*Numery stron odnoszą się do tekstu znajdującego się przed nimi.*

# Część pierwsza

## BUNT MAS

### I

#### Zjawisko aglomeracji<sup>1</sup>

Jesteśmy obecnie świadkami pewnego zjawiska, które, czy tego chcemy czy nie, stało się najważniejszym faktem współczesnego życia publicznego w Europie. Zjawiskiem tym jest osiągnięcie przez masy pełni władzy społecznej. Skoro masy już na mocy samej definicji nie mogą ani nie powinny kierować własną egzystencją, a tym mniej panować nad społeczeństwem, zjawisko to oznacza, że Europa przeżywa obecnie najcięższy kryzys, jaki może spotkać społeczeństwo, naród i kulturę. Historia zna już takie wypadki. Znane są także charakterystyczne rysy i konsekwencja takich kryzysów. Mają one też w historii swoją nazwę. Zwą się: bunt mas.

Aby zrozumieć w całej rozciągłości owo przerażające zjawisko, należy przede wszystkim unikać przypisywania takim słowom jak „bunt”, „masy”, „władza społeczna” znaczenia wyłącznie czy głównie politycznego. Życie publiczne nie ogranicza się jedynie do sfery polityki, należy do niego również działalność intelektualna, moralna, gospodarcza, religijna; obejmuje ono wszelkie sfery życia zbiorowego, włącznie ze sposobem ubierania się czy zabawy.

Tak więc najlepszym sposobem przybliżenia czytelnikowi tego historycznego zjawiska jest ukazanie jego wizualnego aspektu, a przy tym uwypuklenie tych rysów nowej epoki, których istnienie możemy naocznie stwierdzić.

Owym faktem nadzwyczaj prostym do określenia, choć nie do analizowania, jest coś, co nazywam zjawiskiem aglomeracji, zjawiskiem „pełności”. Miasta pełne są ludzi. Domy pełne są mieszkańców. Hotele pełne są gości. Pociągi pełne są podróżnych. Kawiarnie pełne są konsumentów. Promenady pełne są spacerowiczów. Gabinety przyjęć znanych lekarzy pełne są pacjentów. Sale widowiskowe, o ile przedstawienie nie jest zrobione „na poczekaniu”, nie jest improwizacją, pełne są widzów. Plaże pełne są zażywających kąpieli. To, co kiedyś nie stanowiło żadnego problemu, a mianowicie: znalezienie miejsca, obecnie zaczyna być powodem niekończących się kłopotów.

Ot, i wszystko. Czy trzeba szukać zjawiska bardziej zwykłego, bardziej znanego i bardziej stałego w naszym współczesnym życiu? Spróbujmy przekłuć powierzchnię tej obserwacji, a staniemy zdumieni przed niespodziewanym źródłem, w którym odbijające się światło dnia, naszego obecnego dnia, objawi cały jego bogaty, wewnętrzny koloryt.

Cóż takiego zobaczymy i czegoż to widok tak nas zadziwi? Ujrzymy tłum jako taki, korzystający ze stworzonych przez cywilizację pomieszczeń i urządzeń. Po krótkim namyśle zadziwi nas własne zdumienie. Bo czyż nie jest to sytuacja idealna? Miejsca w teatrze są przecież stworzone po to, by je zajmować, a zatem chodzi o to, by sala była pełna. To samo można powiedzieć o miejscach siedzących w pociągu i pokojach w hotelu. Tak, fakt ten nie ulega wątpliwości. Rzecz jednak w tym, że przedtem pomieszczenia te nigdy nie były pełne, natomiast teraz często są przepełnione, a co więcej, nie wszyscy, którzy chcieliby z nich skorzystać, mogą dostać się do środka. Tak więc, chociaż jest to zjawisko naturalne i logicznie uzasadnione, to jednak trzeba sobie zdać sprawę z tego, że kiedyś ono nie istniało, a obecnie jak najbardziej istnieje; a zatem mamy do czynienia ze zmianą, z nowością, która usprawiedliwia, przynajmniej początkowo, nasze zdziwienie.

Zdziwienie, zaskoczenie to początek zrozumienia. To specyficzny i ekskluzywny sport i luksus intelektualistów. Dlatego też charakterystycznym dla nich gestem jest patrzeć na świat rozszerzonymi ze zdziwienia źrenicami. Cały otaczający nas świat jest dziwny i cudowny, jeśli nań spojrzeć szeroko otwartymi oczami. To właśnie, uleganie radosnemu zdziwieniu, jest rozkoszą dla futbolisty niedostępną, natomiast dzięki niej intelektualista idzie przez życie pogrążony w niekończącym się, wizjonerskim upojeniu, którego oznaką

---

<sup>1</sup> W książce *Espana invertebrada* opublikowanej w 1921 roku, w artykule w „El Sol” zatytułowanym *Masas* (1926) i w trakcie dwu wykładów wygłoszonych w Asocjacji Amigos del Arte (Towarzystwo Przyjaciół Sztuki) w Buenos Aires (1928) zajmowałem się już tematem, który w tym eseju chciałbym szerzej rozwinąć. Pragnę tu zebrać i uzupełnić to, co zostało już powiedziane, tak by powstała z tego pewna organiczna doktryna obejmująca całość najważniejszych dla naszych czasów zjawisk.

zewnątrzną jest zdziwienie widoczne w oczach. Dlatego też dla starożytnych symbolem Minerwy była sowa, ptak, którego oczy są zawsze szeroko otwarte, jak gdyby w niemym zdziwieniu.

Aglomeracja, przepełnienie - były to zjawiska, które niegdyś należały do rzadkości. Dlaczego obecnie stały się tak częste?

Obecne tłumy nie wyłoniły się z nicości. W okresie ostatnich około piętnastu lat liczba ludności nie uległa jakimś większym zmianom. Wydaje się rzeczą naturalną, że po zakończeniu wojny liczba ta nawet nieco zmalała. I tak dochodzimy tu do pierwszego ważnego stwierdzenia. Osoby składające się obecnie na owe tłumy istniały również wcześniej, ale nie jako tłum. Rozproszone po świecie, samotne bądź w małych grupkach, wiodły żywot oddzielny, niezależny, jak gdyby w pewnej odległości od innych. Każda taka osoba czy grupka zajmowały własne miejsce bądź to na wsi, bądź w miasteczku, bądź w dzielnicy dużego miasta.

Teraz nagle przybrały kształt aglomeracji i gdziekolwiek spojrzymy, mamy przed oczami tłumy. Gdziekolwiek? Ależ nie; dokładniej rzecz biorąc w miejscach najlepszych, będących stosunkowo wyrafinowanym tworem kultury ludzkiej, które uprzednio zarezerwowane były dla mniejszej liczby ludzi, dla mniejszości.

Tłum stał się nagle widoczny, zajął w społeczeństwie miejsce uprzywilejowane. Przedtem, jeżeli nawet istniał, to pozostawał nie zauważony, był gdzieś w tle społecznej sceny; teraz wysunął się na sam środek, stał się główną postacią sztuki. Nie ma już bohaterów, jest tylko chór.

Pojęcie tłumy ma charakter ilościowy i wizualny. Przetłumaczmy je, nie w nim nie zmieniając, na język socjologii. Okaze się, że mamy do czynienia z ideą mas społecznych. Społeczeństwo jest zawsze dynamicznym połączeniem dwu czynników: mniejszości i mas. Na mniejszość składają się osoby lub grupy osób charakteryzujące się pewnymi szczególnymi cechami. Natomiast masa to zbiór osób nie wyróżniających się niczym szczególnym. Tak więc pod słowem „masy” nie należy rozumieć wyłącznie czy przede wszystkim „mas robotniczych”. Masy to „ludzie przeciętni”. W ten sposób to, co było jedynie ilością, tłum, nabiera znaczenia jakościowego; staje się wspólną jakością, społeczną nijakością. Masy to zbiór ludzi nie wyróżniających się niczym od innych, będących jedynie powtórzeniem typu biologicznego. Co udało nam się uzyskać dzięki owemu przejściu od ilości do jakości? To bardzo proste: dzięki przejściu do drugiego zrozumieliśmy pochodzenie pierwszego. Jest rzeczą oczywistą, wręcz banalną, że jeśli tłum tworzy się w normalny sposób, to u ludzi stanowiących go pojawiają się zbieżne dążenia, idee czy podobny styl życia. Mówi się często, że to samo dzieje się nieuchronnie z każdą grupą społeczną niezależnie od tego, jak elitarną chciałaby być. I rzeczywiście; ale jest jedna zasadnicza różnica.

W grupach, które nie są tłumem czy masą, rzeczywiste podobieństwo ich członków wynika z jakichś wspólnych dążeń, wyznawania jakiejś wspólnej idei czy poszukiwania podobnego ideału, które to cele same w sobie przyciągają dużą liczbę ludzi. Dla powstania jakiegokolwiek mniejszości konieczne jest, by uprzednio każdy z jej członków wystąpił z tłumy, kierując się jakąś specjalną, stosunkowo indywidualną, racją. A zatem jego podobieństwo do innych członków mniejszości jest wtórne, jest faktem zaistniałym już po wyodrębnieniu się jednostek z tłumy, przez to samo zaś jest w dużej mierze podobieństwem w niepodobieństwie. Bywa, że cechą wyróżniającą członków danej grupy jest ich konflikt ze społeczeństwem; istnieją w Anglii grupy ludzi, którzy sami siebie nazywają „nonkonformistami”, co znaczy, że łączy ich jedynie to, że nie zgadzają się z tłumem. Owo dążenie do łączenia się w mniejszość po to właśnie, by przeciwstawić się większości, jest charakterystyczne dla procesu powstawania każdej mniejszości. Mallarme, mówiąc o niewielkiej grupce ludzi, którzy przyszli posłuchać koncertu wybitnego, ale trudnego muzyka, powiada, że obecność tej małej liczebnie publiczności podkreśla nieobecność nieskończenie liczniejszego motłochu.

Rzeczywiście, masy można zdefiniować jako zjawisko psychologiczne; nie musi to być koniecznie tłum złożony z indywidualnych jednostek. Możemy łatwo stwierdzić, czy dana osoba należy do masy czy nie. Masę stanowią ci wszyscy, którzy nie przypisują sobie jakichś szczególnych wartości - w dobrym tego słowa znaczeniu czy w złym - lecz czują się „tacy sami jak wszyscy” i wcale nad tym nie boją, przeciwnie, znajdują zadowolenie w tym, że są tacy sami jak inni. Wyobraźmy sobie teraz człowieka skromnego, który próbując dokonać oceny własnej wartości, zadaje sobie pytanie, czy posiada jakieś szczególne zdolności, czy wybija się w jakiegokolwiek dziedzinie życia, po czym ostatecznie dochodzi do wniosku, że niestety żadnych szczególnych zdolności czy zalet nie posiada. Człowiek ten czuje się szary, bezbarwny i skrzywdzony przez los, ale nie czuje się „masą”.

Kiedy się mówi o „wybranych mniejszościach”, często zniekształca się znaczenie tego określenia nie dostrzegając tego, że człowiek wybrany to nie ktoś butny i bezczelny uważający się za lepszego od innych, lecz ten, który wymaga od siebie więcej niż inni, nawet jeśli nie udaje mu się samemu tych wymagań zaspokoić. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie jest najbardziej podstawowym kryterium podziału ludzkości na dwa typy osobników: tych, którzy stawiają sobie duże wymagania, przyjmując na siebie obowiązki i narażając się na niebezpieczeństwa i tych, którzy nie stawiają sobie samym żadnych specjalnych wymagań, dla których żyć, to pozostawać takim, jakim się jest, bez podejmowania jakiegokolwiek wysiłku w celu samodoskonalenia, to płynąć przez życie jak boja poddająca się biernie zmiennym prądom morskim.

Przypomniało mi to, że na ortodoksyjny buddyzm składają się dwie zasadniczo różne religie: jedna bardziej wymagająca i trudna oraz druga bardziej swobodna i łatwa: Mahayana - „wielki pojazd” czy „wielki wóz” - i Hinayana - „mały wóz”, „mniejsza ścieżka”. Istotne jest to, z którym „wozem” zwiążemy własne życie, maksymalnych czy też minimalnych wymagań.

Podział społeczeństwa na masę i wybrane mniejszości nie jest zatem podziałem na klasy społeczne, lecz na klasy ludzi i nie można go łączyć z podziałem na klasy wyższe i niższe. Oczywiście, istnieje prawdopodobieństwo, że w klasach wyższych, w okresie kiedy status ten osiągają i kiedy rzeczywiście nań zasługują, napotykamy więcej osób, które związały swoje życie z „wielkim wozem”, podczas gdy klasy niższe składają się zazwyczaj z osobników pozbawionych jakichś szczególnych wartości. Jednakże, dokładnie rzecz biorąc, w łonie każdej klasy społecznej istnieje masa i autentyczna mniejszość.

Jak to wkrótce zobaczymy, cechą charakterystyczną naszych czasów jest panowanie masy, tłumu, nawet w grupach o elitarnych dotychczas tradycjach. Tak więc także w dziedzinie życia intelektualnego, które z samej swej istoty wymaga określonych kwalifikacji, daje się zauważyć stały wzrost znaczenia pseudointelektualistów, niedouczonek, nie będących w stanie osiągnąć należytych kwalifikacji i którzy z natury rzeczy powinni być w tej dziedzinie zdyskwalifikowani. To samo można powiedzieć o wielu potomkach „arystokracji”, zarówno w linii męskiej jak i żeńskiej. Z drugiej strony nie jest obecnie wcale rzadkością natrafienie wśród robotników, którzy niegdyś służyli jako typowy przykład tego, co nazywamy „masą”, na jednostki o umysłach w najwyższym stopniu uporządkowanych i zdyscyplinowanych.

Otóż, istnieje w społeczeństwie olbrzymia różnorodność czynności, zajęć i funkcji, które z natury rzeczy mają szczególny charakter i, co za tym idzie, nie mogą być należycie wykonywane przez ludzi pozbawionych pewnych specjalnych uzdolnień. Przykładem mogą tu być pewnego typu przyjemności artystyczne o elitarnym charakterze albo też sprawowanie funkcji w rządzie wygłaszanie politycznych ocen na temat spraw życia publicznego. Niegdyś te szczególnego rodzaju czynności wykonywane były przez mniejszość o odpowiednich kwalifikacjach lub przynajmniej przez mniejszości, które przypisywały sobie posiadanie tych kwalifikacji. Masy nie starały się ingerować w te zagadnienia; były bowiem świadome tego, że chcąc wziąć w nich udział, musiałyby, zgodnie z naturą rzeczy, zdobyć owe szczególne zdolności, a tym samym przestałyby być masą. Znały swą rolę i miejsce w zdrowej dynamice społecznej.

Wracając teraz do zjawisk i faktów, o których mowa była na początku, możemy stwierdzić, iż są one niewątpliwie zwiastunami zmian zachodzących w postawach mas. Wskazują na to, że masy zdecydowały się wysunąć w społeczeństwie na pierwszy plan, zakupując lokale, korzystając z urządzeń i zaznając przyjemności, które dotąd zarezerwowane były dla bardzo nielicznych. Jest rzeczą oczywistą, że, na przykład, wspomniane wyżej pomieszczenia, ze względu na ograniczoną przestrzeń, nie były planowane z myślą o tłumie, który obecnie się przez nie przelewa, unaoczniając nam dobitnie i namacalnie powstanie nowego zjawiska: masy, która nie przestając być masą, zajmuje miejsce mniejszości.

Nikt chyba nie będzie ubolewał nad tym, że większa liczba ludzi czerpie obecnie więcej przyjemności z życia niż kiedyś, tym bardziej, jeśli mają po temu chęci i środki. Zło tkwi w tym, że owa podjęta przez masy decyzja o przyswojeniu sobie właściwego mniejszościom sposobu życia nie ogranicza się i nie może się ograniczać jedynie do dziedziny przyjemności, lecz staje się ogólną cechą naszych czasów. Dlatego też - uprzedzając to, o czym będzie mowa dalej - uważam, iż zmiany polityczne ostatnich lat zwiastują nie co innego, jak polityczną dyktaturę mas. Stara demokracja utrzymywała się przy życiu dzięki liberalizmowi i entuzjastycznej wierze w moc prawa. Jednostka, posłuszna tym zasadom, musiała narzucić samej sobie, a następnie utrzymać, pewną dyscyplinę. Mniejszości mogły żyć i działać pod osłoną zasad liberalizmu i przy przestrzeganiu zasad praworządności. Demokracja i prawo - współzycie zgodne z normami praworządności, to były synonimy. Obecnie jesteśmy świadkami triumfu hiperdemokracji, w ramach której masy działają bezpośrednio, nie zważając na normy prawne, za pomocą nacisku fizycznego i materialnego, narzucając wszystkim swoje aspiracje i upodobania. Falszem jest interpretowanie nowej sytuacji jako takiej, w której masy, zmęczone polityką, składają jej prowadzenie w ręce ludzi o szczególnych w tym kierunku uzdolnieniach. Wręcz odwrotnie. Tak było przedtem, była to demokracja liberalna. Masy zakładały mniej lub bardziej chętnie, że mniejszość dzierżąca władzę polityczną, mimo wszystkich swych wad i słabości, zna się jednak nieco lepiej na sprawach publicznych. Dzisiaj natomiast masy są przekonane o tym, że mają prawo nadawać moc prawną i narzucać innym swoje, zrodzone w kawiarniach, racje. Wątpię, czy udałoby się znaleźć w dziejach jakiś inny okres, w którym tłum sprawowałby władzę w sposób tak bezpośredni jak w naszych czasach. Dlatego też występujące obecnie zjawisko nazywam hiperdemokracją. To samo ma miejsce w innych dziedzinach życia, a szczególnie w sferze intelektualnej. Być może myślę się, ale wydaje mi się, że obecnie pisarz, kiedy bierze do ręki pióro, by napisać coś na znany mu gruntownie temat, powinien pamiętać o tym, że przeciętny czytelnik, dotąd tym problemem nie zainteresowany, nie będzie czytał dla poszerzenia własnej wiedzy, lecz odwrotnie - po to, by wydać na autora wyrok skazujący, jeśli treść jego dzieła nie będzie zbieżna z banalną przeciętnością umysłu owego czytelnika. Jeśli składające się na masę jednostki uważają się za szczególnie uzdolnione, to mamy wówczas do czynienia tylko z błędem jednostkowym, nie z socjologicznym przewrotem. *Dla chwili obecnej charakterystyczne jest to, że umysły przeciętne i banalne, wiedząc o swej przeciętności i banalności, mają*

*czelność domagać się prawa do bycia przeciętnymi i banalnymi i do narzucania tych cech wszystkim innym.* W Ameryce Północnej powiada się: być innym to być nieprzyzwoitym. Masa miazdzy na swojej drodze wszystko to, co jest inne, indywidualne, szczególne i wybrane. Kto nie jest taki sam jak wszyscy, kto nie myśli tak samo jak wszyscy, naraża się na ryzyko eliminacji. Oczywiście, „wszyscy” to wcale nie „wszyscy”. Normalnie rzecz biorąc „wszyscy” to całość, na którą składają się masy i wyróżniające się pewnymi szczególnymi cechami mniejszości. Obecnie wszyscy to tylko masa.

Taka właśnie jest straszliwa prawda o naszych czasach, przedstawiona brutalnie i bez osłonek.

## II

### Podniesienie się poziomu dziejów

Taka właśnie jest straszliwa prawda o naszych czasach, przedstawiona brutalnie i bez osłonek. Co więcej, jest to zupełnie nowe zjawisko w dziejach naszej cywilizacji. Nigdy, przez całe wieki jej rozwoju, nic podobnego nie miało miejsca. Szukając odniesienia do zjawisk podobnych, musimy wyskoczyć z rani własnych dziejów i zanurzyć się w zupełnie innym świecie, w innym żywiole; musimy przeniknąć do świata starożytnego, do czasów, gdy zbliżał się już jego upadek. Historia imperium rzymskiego jest także historią powstawania mas dochodzących stopniowo do władzy, które unicestwiają bądź pochłaniają rządzące mniejszości i zajmują ich miejsce. W owych czasach można także zauważyć zjawisko aglomeracji, przepełnienia. Dlatego też trzeba było wówczas, podobnie jak dzisiaj - jak to słusznie zauważył Spengler - wznosić budowle o olbrzymich rozmiarach. Epoka mas to epoka kolosów.<sup>2</sup>

Żyjemy w okresie brutalnej i bezwzględnej władzy mas. Doskonale; już dwa razy nazwaliśmy tę władzę „brutalną”, tym samym spłaciiliśmy daninę należną bogom pospolitości; teraz możemy już, z ważnym biletem w rękę, zagłębić się ochoczo w temacie, przyjrzeć się widowisku od wewnątrz. Czy może myśleli państwo, że zadowolę się tym krótkim opisem, być może dokładnym, ale zewnętrznym, dającym jedynie powierzchowny obraz problemu? Nie - bo dopiero kiedy się weń zagłębimy, patrząc na całą sprawę z perspektywy przeszłości, to ukaże się naszym oczom cały przerażający ogrom tego potężnego zjawiska. Gdybym się tym zadowolili i tym samym zakończył niniejszy esej, to czytelnik mógłby pomyśleć (i byłby w pełni usprawiedliwiony), że owo cudowne wprost wypłynięcie mas na powierzchnię dziejów spowodowało mnie jedynie do wygłoszenia kilku pejoratywnych, pogardliwych słów odzwierciedlających po części pogardę, a po części wstręt; jestem przecież znany jako gorliwy zwolennik radykalnie arystokratycznej interpretacji dziejów.<sup>3</sup> Dlatego radykalnie, że nigdy nie powiedziałem, iż społeczeństwo ludzkie powinno być arystokratyczne. Powiedziałem znacznie więcej, i dalej w to wierzę, a każdy dzień utwierdza mnie coraz mocniej w tym mianowicie przekonaniu, że społeczeństwo ludzkie jest zawsze arystokratyczne, czy tego chce, czy nie, dzieje się tak z samej jego istoty. Jak długo jest arystokratyczne, jest społeczeństwem, a im mniej jest arystokratyczne, tym mniej jest społeczeństwem. Mówię tu oczywiście o społeczeństwie, a nie o państwie. Nikt nie powinien uważać, że arystokratyczne zachowanie polega na przybraniu, wobec groźnie wrzącej gniewem masy, kapryśno-zmanierowanej miny dworaka z Wersalu. Wersal - mam tu na myśli Wersal min i kaprysów - to nie jest arystokracja, a nawet wręcz przeciwnie: to śmierć i gnicie wspaniałej niegdyś arystokracji. Dlatego też jedyne, co u tych stworzeń zostało z arystokracji, to dostojny gest, z jakim przyjmowali spadającą na ich szyję gilotynę; godzili się na nią, jak wrzód godzi się na cięcie skalpela. Nie, ten kto rzeczywiście poczuwa się do prawdziwie głębokiej misji, jaką ma do spełnienia każda arystokracja, na widok masy rozpala się płomieniem działania podobnym temu, który pochłania duszę rzeźbiarza na widok dziewiczej bryły marmuru. Arystokracja społeczna nie przypomina w niczym owej niewielkiej grupki ludzi, która rości sobie wyłączne prawo do bycia społeczeństwem, która sama siebie nazywa „towarzystwem”<sup>4</sup> i której życie polega na wzajemnym zapraszaniu się lub nie. Skoro wszystko na tym świecie ma swoją rację bytu i swoją misję do spełnienia, mają je również owe małe „światy elegancji”, ale jest to misja podrzędna i zupełnie nieporównywalna do herkulesowych wprost zadań, jakie stoją przed autentycznymi arystokracjami. Nie miałbym nic przeciwko przedstawieniu państwu sensu istnienia owego eleganckiego świata, na pierwszy rzut oka tak bezsensownego, ale zajmujemy się teraz innym, bez porównania poważniejszym tematem. Zresztą, owo „lepsze towarzystwo” poddaje się także wpływom naszych czasów. Dużo dała mi do

<sup>2</sup> Tragiczne w tym procesie jest to, że jednocześnie z powstawaniem aglomeracji zaczynała wyludniać się wieś, co w sposób nieunikniony pociągało za sobą spadek liczby mieszkańców imperium.

<sup>3</sup> Patrz *Espana invertebrada*, 1921 - to data pierwszej publikacji w formie serii artykułów w dzienniku „El Sol”. Korzystam tu z okazji, by zwrócić uwagę cudzoziemcom piszącym obficie na temat moich prac i mających często trudności ze sprecyzowaniem daty ich pierwszej publikacji, że prawie każda moja praca ukazywała się najpierw pod postacią artykułu bądź serii artykułów prasowych. Często upływało wiele lat, zanim zostawały one zebrane i wydane w formie książkowej (1946).

<sup>4</sup> Nieprzetłumaczalna gra słów, po hiszpańsku zarówno „społeczeństwo” jak „towarzystwo” to *sociedad* (przyp. Maria Dietl).

myślenia pewna młoda dama, sam wdzięk młodości, gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie madryckiego towarzystwa, która mi powiedziała niedawno, że: „Nie znoszę balów, na które zaproszonych jest mniej niż osiemset osób”. Dzięki temu zdaniu pojąłem, że styl bycia mas odnosi dziś triumfy we wszystkich dziedzinach życia, przenikając nawet do tych ostatnich zakątków, które wydawały się zarezerwowane dla *the happy few*.

Tak więc obca mi jest zarówno wszelka interpretacja naszych czasów, która by nie dostrzegała pozytywnych cech tkwiących gdzieś w głębi zjawiska dominacji mas, jak również obcy mi są ci, którzy się na nią radośnie godzą i w których nie budzi ona dreszczu grozy. Każde przeznaczenie jest dramatyczne i tragiczne w swym ostatecznym wymiarze. Kto nigdy nie wyczuwał pod swymi palcami pulsującego niebezpieczeństwa naszych czasów, kto nigdy nie sięgnął do samych wnętrzości przeznaczenia, ten może powiedzieć, że głąkał się jedynie po własnym zżółkłym policzku. Straszliwym, przerażającym składnikiem naszego przeznaczenia jest gwałtowny, miażdżący wszystko, moralny bunt mas, wspaniały, nieokiełznany i dwuznaczny jak wszelkie przeznaczenie. Dokąd nas zaprowadzi? Czy jest absolutnym złem, czy też może obrócić się na dobre? Oto jest, olbrzymi i potężny, rozparty w naszych czasach jak mityczny gigant, kosmiczny znak zapytania, o dwuznacznym jak zawsze kształcie, mającym w sobie coś z szubienicy i gilotyny, ale także coś, co być może przypominać ma łuk triumfalny!

Zjawisko, którego anatomię chcemy poznać, można ująć w dwu stwierdzeniach: po pierwsze, masy są obecnie w posiadaniu całego wachlarza możliwości życiowych, który jest w dużej mierze zbieżny z tym, co dotąd wydawało się zarezerwowane wyłącznie dla mniejszości; po drugie, masy zhardtowały w stosunku do mniejszości; nie są im posłuszne, nie naśladują ich aninie szanują; a raczej wprost przeciwnie, odsuwają je na bok i zajmują ich miejsce.

Przeanalizujmy teraz pierwsze stwierdzenie. Chcę przez nie powiedzieć, że masy korzystają obecnie zarówno z przyjemności, jak i akcesoriów wymyślonych niegdyś przez grupy wybrane i tylko im właściwych, na ich wyłączny użytek. Charakterystyczne dla obecnych mas apetyty i potrzeby uznawano niegdyś za objaw wyrafinowania, ponieważ były własnością niewielu. Oto banalny przykład: w roku 1820 było w Paryżu nie więcej niż dziesięć łazienek w mieszkaniach prywatnych; patrz *Pamiętniki* hrabiny de Boigne. Ale co więcej: masy znają obecnie i używają w sposób dość efektywny wielu technik, które niegdyś znane były jedynie wyspecjalizowanym jednostkom.

Nie chodzi tu jedynie o techniki materialne, ale także o coś ważniejszego, o techniki prawne i społeczne. W wieku XVIII pewne mniejszości dokonały odkrycia, że każdy człowiek, przez sam fakt przyścia na świat i bez potrzeby jakichkolwiek szczególnych kwalifikacji, nabywa pewne podstawowe prawa polityczne, tak zwane prawa człowieka i obywatela, a także, że prawa te, wspólne dla wszystkich, są w ogóle jedynymi rzeczywiście istniejącymi. Wszelkie inne prawa, wynikające ze szczególnych uzdolnień, zostały odrzucone i potępione jako przywileje. Początkowo była to czysta teoria, myśl zrodzona w głowach niewielkiej grupki ludzi; następnie ci nieliczni, owa lepsza mniejszość, zaczęli wcielać ideę w życie, narzucając ją innym i domagając się posłuchu. Jednakże przez cały wiek XIX masy, choć pełne entuzjazmu dla tych idei jako ideału, nie czuły ich w sobie, nie były nimi na tyle przepojone, by dążyć do wcielenia ich w życie inaczej jak w ramach demokratycznego prawodawstwa, dalej tkwiąc w tej samej samoświadomości, co w czasach *ancien regime'u*. „Lud” - bo tak zaczęto wówczas nazywać masy - wiedział już, że sprawuje władzę, ale jeszcze w to nie wierzył. Obecnie ideał ten przekształcił się w rzeczywistość, nie odzwierciedloną w kodeksach prawnych będących przeciwieństwem schematami leżącymi na zewnątrz życia publicznego, lecz zakorzenioną głęboko w sercu każdej jednostki, niezależnie od tego, jakie są jej poglądy, nawet jeśli są one skrajnie reakcyjne: *to znaczy nawet jeśli dana jednostka swą działalnością burzy i unicestwia instytucje, które owe prawa sankcjonują*. Moim zdaniem, kto nie zrozumie tej dziwnej sytuacji moralnej mas, ten nie będzie w stanie wytłumaczyć sobie żadnego z zachodzących obecnie zjawisk. Pojęcie panowania jednostki pozbawionej jakichkolwiek kwalifikacji, ludzkiej jednostki biologicznej jako takiej, przeszło od stadium ideału prawnego, którym było niegdyś, do stadium stanu psychologicznego kształtującego mentalność przeciętnego człowieka. Proszę teraz zauważyć, że w momencie, kiedy coś, co dotychczas było ideałem, staje się składnikiem rzeczywistości, to od razu, w sposób nieunikniony i nieodwracalny, przestaje być ideałem. Prestiż i magiczny autorytet, owe oddziaływające na człowieka atrybuty ideału, nagle się gdzieś ulatniają. Zrównujące ludzi prawa, owoc szlachetnej inspiracji demokratycznej, przekształciły się z dążeń i ideałów w potrzeby i wymagania, często nawet nie uświadomione.

Otóż, znaczenie tych praw polega na wyrwaniu duszy ludzkiej z wrodzonego jej stanu poddaństwa i uległości oraz na wpojeniu jej pewnego rodzaju świadomości jej pańskości i dostojeństwa. Czyż nie o to chodziło? Czyż nie chodziło o to, by każdy człowiek poczuł się gospodarzem, panem siebie samego i swego życia? W pełni się to udało. Na cóż więc już od trzydziestu lat narzekają liberałowie, demokraci, postępowcy? Czy są oni może jak te dzieci, które chcą jakiejś rzeczy, ale nie chcą jej naturalnych następstw? Pragnęli, by każdy przeciętny człowiek poczuł się panem. No to nie powinni się teraz dziwić, że zachowuje się po pańsku, że żąda dla siebie udziału we wszystkich przyjemnościach, że z pełnym zdecydowaniem narzuca innym swoją wolę, że odrzuca wszelką służalczość, że nikogo się nie słucha, że dba o swoje interesy i swój wolny czas, że przykładą dużą wagę do stroju: są to pewne odwieczne i niezmiennie cechy idące w parze ze świadomością pańskości. Obecnie zaczynają to być cechy człowieka przeciętnego, masy.

Stwierdzamy zatem, że współczesny przeciętny człowiek dysponuje możliwościami życiowymi, które niegdyś zarezerwowane były jedynie dla mniejszości stojących na najwyższych szczeblach hierarchii społecznej. Otóż, ludzie przeciętni to jakby powierzchnia, po której toczą się dzieje każdej epoki; w historii są oni tym, czym w geografii jest poziom morza. Jeśli więc teraz przeciętny poziom znajduje się tam, gdzie uprzednio docierały jedynie arystokracje, to znaczy po prostu, że poziom dziejów nagle się podniósł. Skok ten dokonał się za życia jednego pokolenia, choć poprzedzony był długimi i skomplikowanymi zmianami zachodzącymi w głębinach. Podniósł się poziom życia w ogóle, dotyczy to wszystkich jego dziedzin. Można powiedzieć, że współczesny prosty żołnierz ma wiele z dowódcy; współczesne wojsko składa się już z samych dowódców. Wystarczy zaobserwować energię, zdecydowanie, łatwość, z jaką przeciętny osobnik prze dziś ku życiu, korzysta z nadarzających się przyjemności, narzuca innym swoje decyzje.

Wszystko, co dobre i co złe w terażniejszości i w najbliższej przyszłości, ma swą przyczynę i swe korzenie w owym ogólnym podniesieniu się poziomowi dziejowego.

Dochodzimy teraz do zupełnie niespodziewanego stwierdzenia. To, że przeciętny poziom życia osiągnąłobecną wysokość, do jakiej niegdyś wznieść się mogła jedynie mniejszość, jest w Europie zjawiskiem nowym. Natomiast w Ameryce jest to zjawisko niejako przyrodzone, obecne od samych jej początków. Pragnąłbym być w tym miejscu dobrze zrozumiany, mam tu na myśli świadomość równości prawnej. Ów stan psychiczny, jaki daje poczucie bycia panem siebie i poczucie równości w stosunku do wszystkich innych, który w Europie był domeną grup wybranych, w Ameryce był powszechną rzeczywistością od samego zarania jej dziejów, już od XVIII wieku. I jeszcze jedna ciekawa zbieżność! Od chwili, kiedy w Europie ten stan psychiczny stał się udziałem zwykłych ludzi i podniósł się poziom ich egzystencji, styl życia w Europie we wszystkich dziedzinach nabrał takiego kształtu, że wielu ludzi skłonnych było twierdzić, iż „Europa się amerykanizuje”. Ci, którzy to mówią, nie przydają temu zjawisku większego znaczenia, uważają, że chodzi tu jedynie o powierzchowne zmiany obyczaju, o modę; zdezorientowani objawami zewnętrznymi, przypisują je jakiemś bliżej nie określone wpływowi Ameryki na Europę. Jest to, moim zdaniem, wielkie uproszczenie problemu, który jest znacznie głębszy i bardziej zaskakujący.

Grzeczność i uprzejmość nakazywałyby mi teraz powiedzieć ludziom zza oceanu, że rzeczywiście Europa się amerykanizuje, co związane jest ze wzrastającym oddziaływaniem Ameryki na Europę. Ale nie; prawda popada tu w konflikt z uprzejmością i musi zatriumfować. Europa wcale się nie amerykanizuje. Na razie nie udało się Europie odczuć żadnych poważniejszych wpływów amerykańskich. Być może teraz się to zaczyna; ale na pewno nie dotyczyło najbliższej przeszłości, z której wyrasta nasza terażniejszość. Mamy tu do czynienia z przerażającym wprost nagromadzeniem fałszywych pojęć, które zaciemniają pole widzenia zarówno nam, Europejczykom, jak i Amerykanom. Triumf mas, pociągający za sobą owo wspaniałe podniesienie się poziomu życia, wypływa w Europie z przyczyn wewnętrznych, jest następstwem dwu wieków prowadzonej przez postępowców edukacji mas przy jednoczesnym bogaceniu się społeczeństwa. Ale faktem jest, że rezultaty tych zmian są bardzo podobne do najważniejszych elementów kształtujących życie Ameryki. Sytuacja moralna przeciętnego Europejczyka upodobniła się do sytuacji moralnej Amerykanina i obecnie, po raz pierwszy w dziejach, Europejczyk zaczyna rozumieć życie Ameryki, które przedtem było dla niego zagadkowe i pełne tajemnic. Nie mamy tu więc do czynienia z jakimś wpływem, co byłoby dosyć dziwne, skoro byłby to wpływ wtórny, lecz z czymś, czegośmy się jak dotychczas najmniej spodziewali, to jest ze zrównaniem. Europejczycy zawsze mieli mgliste wrażenie, że poziom życia w Ameryce jest wyższy niż na Starym Kontynencie. To mało analizowane, ale silnie odczuwane przypuszczenie zrodziło ogólnie przyjmowany i nigdy nie podany w wątpliwość pogląd, że Ameryka to przyszłość. Jest rzeczą zrozumiałą, że przekonanie ogólnie akceptowane i silnie zakorzenione w umysłach nie mogło unosić się na wietrze jak orchidee, o których powiada się, że rozwijają się w powietrzu nie zapuszczając korzeni. Podstawą tego poglądu było owo mgliste postrzeżenie wyższego przeciętnego poziomu życia za oceanem, kontrastującego z niższym, w porównaniu z Europą, poziomem życia elitarnych mniejszości. A historia, podobnie jak rolnictwo, rozwija się w dolinach, a nie na szczytach, na poziomie życia przeciętnych ludzi, a nie wybijających się mniejszości.

Żyjemy w okresie zrównywania poziomów: zrównują się majątki, zacierają się różnice poziomu kulturalnego różnych klas społecznych, zrównują się płcie. Zrównują się również kontynenty. Ponieważ dotychczas poziom życia Europejczyka był niższy, na owym zrównywaniu jedynie zyskuje. A więc, z tego punktu widzenia, podnoszenie się mas oznacza wspaniały wzrost możliwości życiowych; czyli coś zupełnie sprzecznego z tym, co mówi się często o dekadencji Europy. Jest to powiedzenie mgliste i w najwyższym stopniu niejasne, bo nie wiadomo dobrze, o czym mowa: czy o państwach europejskich, czy o kulturze europejskiej, czy też o czymś leżącym głębiej i bez porównania ważniejszym, a mianowicie o europejskiej żywotności. O państwach europejskich i europejskiej kulturze będziemy jeszcze mówili w dalszym ciągu tej pracy - i, być może, pogląd o ich dekadencji okaże się słuszny. Jeśli chodzi o żywotność europejską, to należy od razu stwierdzić, że pogląd taki jest z gruntu fałszywy. Być może stwierdzenie to wyda się państwu mniej nieprawdopodobne i bardziej przekonujące, jeśli je wyrażę innymi słowami; chcę więc powiedzieć, iż obecnie przeciętny Włoch, Hiszpan czy Niemiec pod względem żywotności i stylu życia mniej się różni od Północnego

Amerikanina czy Argentyńczyka, niż to miało miejsce jeszcze trzydzieści lat temu. Jest to fakt, o którym Amerykanie powinni pamiętać.

### III

## Poziom naszych czasów

Panowanie mas jest zatem czymś wybitnie pozytywnym przez wzgląd na podniesienie się całego poziomu dziejów, a ponadto ujawnia, że obecnie życie przeciętnego człowieka osiągnęło poziom wyższy, niż to miało miejsce w przeszłości. Stwierdzając to przyznajemy zarazem, że życie może toczyć się na różnych poziomach i że można mówić o poziomie w odniesieniu do czasów, co ma więcej sensu, niżby się zrazu wydawało.

Dobrze będzie, jeśli się przy tym stwierdzeniu na chwilę zatrzymamy, bo stanowi ono dogodny punkt wyjścia do określenia jednej z najbardziej zadziwiających cech charakterystycznych naszej epoki.

Powiada się na przykład, że to czy tamto nie dorastało do poziomu swego czasu. W istocie nie chodzi tu o chronologiczny czas abstrakcyjny, bo ten zawsze jest taki sam, lecz o czasy życia, o to, co każde pokolenie nazywa „naszymi czasami”; to one charakteryzują się zawsze pewnym poziomem, który dziś może być wyższy niż wczoraj, może być taki sam albo też może się obniżyć. Obraz upadku zawarty w słowie „dekadencja” odzwierciedla tę intuicję. Tak samo każdy z nas dostrzega, z większą lub mniejszą jasnością, związek między swym własnym życiem a ogólnym poziomem czasów, w których żyjemy. Są tacy, którzy w stylu życia naszych czasów czują się rozbitkami nie mogącymi utrzymać się na powierzchni. Tempo, w jakim obecnie świat idzie naprzód, impet, energia, z jaką się dzisiaj wszystko dokonuje, napawają przerażeniem człowieka dawnego pokroju, a przerażenie to jest miarą różnicy między rytmem jego życia a poziomem życia epoki. Z drugiej strony ten, kto żyje pełnią życia i z upodobaniem przyjmuje obecny styl, świadomy jest związków zachodzących między poziomem różnych wcześniejszych epok. Jakie to są związki?

Błędne byłoby założenie, że człowiek danej epoki uznaje zawsze epoki przeszłe - dlatego tylko, że już minęły - za epoki o niższym poziomie niż ta, w której sam żyje. Wystarczy tu przypomnieć choćby zdanie Jorge Manrique'a, że „każda miniona epoka była lepsza”. Ale to także nie jest prawdą. Nie we wszystkich dawnych epokach odczuwano bowiem niższość wobec czasów minionych, ani też nie zawsze panowało powszechne poczucie wyższości w stosunku do przeszłych wieków. Każdą epokę historyczną charakteryzuje inny stosunek do owego dziwnego zjawiska, jakim jest poziom żywotności i zdumiewa mnie, że myśliciele i historycy nie odwoływali się nigdy w swych rozważaniach do tak oczywistego i istotnego faktu.

Nie ulega kwestii, że najbardziej rozpowszechniona była zacytowana wyżej opinia Jorge Manrique'a, w każdym razie traktując sprawę *grosso modo*. W większości epok historycznych nie uważano wcale, by własne czasy były lepsze od czasów dawniejszych. Wręcz przeciwnie, ludzie najczęściej przekonani byli o istnieniu kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, jakichś lepszych czasów, życia bogatszego i pełniejszego. Wierzyli w „złoty wiek”, jak byśmy to powiedzieli my, wykształceni przez starożytnych Greków i Rzymian, albo w *Alcheringa*, jak by to określili dzicy mieszkańcy Australii. Znaczy to, iż ludzie ci mieli wrażenie, że rytm ich własnego życia jest jakiś niepełny, słaby, niezdolny całkowicie wypełnić układu krwionośnego. Dlatego odczuwali podziw i szacunek dla przeszłości, dla epok „klasycznych”, w których życie było pełniejsze, bogatsze, doskonalsze i trudniejsze niż życie ich własnego czasu. Patrząc w przeszłość i wyobrażając sobie życie w owych wspaniałych epokach, nie mieli wcale poczucia wyższości, wręcz przeciwnie, czuli się niżsi tak samo jak stopień temperatury, gdyby obdarzony był świadomością, czułby się niższy od stopnia wyższego, zdając sobie sprawę z tego, że w tym wyższym zawiera się więcej kalorii niż w nim samym. W imperium rzymskim, mniej więcej w sto pięćdziesiąt lat po narodzeniu Chrystusa, zaczyna stopniowo narastać owo poczucie wyczerpywania się żywotności, osłabienia tętna, chylenia się ku upadkowi. Już Horacy pisał:

*Aetas parentum peior avis tulit  
nos nequiores, mox daturos  
progeniem vitiosiore.*<sup>5</sup>

Dwa wieki później w całym imperium nie było wystarczającej liczby dostatecznie dzielnych i walecznych Italczyków, by obsadzić wszystkie wakujące stanowiska centurionów i trzeba je było powierzyć najpierw

<sup>5</sup> „Od dziadów mniejszych ojców przywitał wiek zmarły,  
Tylko strzępy w dziedzictwie wzięły ojców dzieci  
Po nas zostaną już karły”  
*Ody*, Księga III, przeł. L.H. Morstin, Warszawa 1967, s. 6.



Dalmatyńczykom, a potem barbarzyńcom z nad Dunaju i Renu. W tym samym czasie zmalała płodność kobiet, dzięki czemu Italia stopniowo się wyludniała.

Spójrzmy teraz na innego rodzaju epoki, które pod względem żywotności wydają się być pełnym przeciwieństwem tych, o których mówiliśmy powyżej. Chodzi o nadzwyczaj ciekawe zjawisko i zdefiniowanie go jest dla nas bardzo ważne. Nie dawniej jak około trzydziestu lat temu, [tj. na początku XX wieku] politycy, przemawiając do tłumów, zwykli byli potępiać taki czy inny sposób rządzenia albo takie czy inne zachowanie powiadając, że nie jest ono godne naszych czasów. Ciekawe, że tego samego zwrotu użył Trajan w sławnym liście do Pliniusza, gdzie poleca mu wstrzymanie prześladowania chrześcijan wszczętego na skutek anonimowych donosów, ponieważ: *Nec nostri saeculi est*<sup>6</sup>. Mieliśmy więc w dziejach również epoki, w których panowało poczucie osiągnięcia najwyższego już, ostatecznego poziomu możliwości, czasy, w których ludzie wierzyli, że dotarli już do końca swojej drogi, że ich epoka jest ukoronowaniem odwiecznych wysiłków i ostatecznym spełnieniem nadziei. Jest to „pełnia czasów”, okres pełnej dojrzałości historycznego życia. Tak więc trzydzieści lat temu Europejczycy wierzyli, że życie ludzkie jest już nareszcie takie, jakie być powinno, do jakiego wzdychały z utęsknieniem całe pokolenia i jakim powinno już na zawsze pozostać. Czasy pełni odczuwa się zawsze jako rezultat wysiłków wielu poprzednich epok przygotowawczych, epok niepełnych, podrzędniejszych, na których zrębie wyrósł wspaniały owoc naszych czasów. Owe epoki przygotowawcze, oglądane z wyżyn czasów pełni, sprawiają wrażenie epok, w których żyło się w ciągłym znoju i dążeniu do nieosiągalnych celów; wydaje się, że były to czasy niespełnionych nadziei, płomiennych prekursorów, ciągłego „jeszcze nie” i czasy przerażającego kontrastu pomiędzy jasnością i wyrazistością dążeń i nie dorastającą do nich rzeczywistością. Tak właśnie ujmował średniowiecze wiek XIX. W końcu nadchodzi dzień, w którym owe odwieczne, często tysiącletnie dążenia zaczynają nabierać realnych kształtów, stają się rzeczywistością. Wspięliśmy się na najwyższy poziom, doszliśmy do dawno wytkniętego celu, osiągnęliśmy nareszcie szczyt! Po „jeszcze nie” nastąpiło „nareszcie”.

Tak widzieli swoje życie nasi ojcowie i całe ich stulecie. Pamiętajmy o tym, że nasze czasy nastąpiły po czasach pełni. Stąd też ci, którzy ciągle jeszcze żyją po tamtej stronie, w czasach pełni, patrząc na świat ze swego punktu widzenia, odnoszą w sposób nieunikniony wrażenie, że obecne czasy są epoką schyłku, dekadencji.

Ale stary historyczny wyjadacz, trzymający rękę na pulsie czasów, nie da się zmylić żadnymi domniemanymi „pełniami”.

Jak już mówiłem, istotnym warunkiem osiągnięcia „czasów pełni” jest to, by jakieś pradawne dążenie, od wieków wytrwale drążące ludzkość, zostało w końcu zaspokojone. Owe czasy pełni to czasy sytości i samozadowolenia; a nawet, jak to było w wieku XIX, arcysamozadowolenia<sup>7</sup>. Ale teraz wiemy już, że owe wieki, tak z siebie zadowolone, tak udane, są w gruncie rzeczy martwe. *Autentyczna pełnia życia to nie pełne sytości zadowolenie, sukces, poczucie osiągnięcia szczytu*. Już Cervantes powiedział, że „droga zawsze jest lepsza od zajazdu”. Czasy, w których spełniły się ludzkie dążenia, w których ideały przybrały realny kształt, to czasy, w których się do niczego nie dąży, w których wyschły źródła pożądań. Innymi słowy, cała ta pełnia to w rzeczywistości koniec. Bywają epoki, które nie umiając odrodzić czy ożywić swych dążeń, umierają z sytości i zadowolenia, tak jak umiera szczęśliwy truteń po weselnym locie.<sup>8</sup>

Stąd też wynika owo zadziwiające zjawisko, że w najgłębszych pokładach epok domniemanej pełni tkwi zawsze jakiś dziwny smutek.

Pragnienie od dawna oczekujące na spełnienie, które w wieku XIX wydawało się bliskie realizacji, samo siebie określa krótko mianem „kultury nowoczesnej”. Już sama ta nazwa wzbudza niepokój: co to znaczy, że epoka sama siebie określa jako „nowoczesną”, a więc ostateczną, skończoną, wobec której wszystkie inne okresy dziejów to po prostu czas przeszły, skromne i nieśmiałe przygotowania do osiągnięcia pełni! To nie trafiające w cel, zbłąkane strzały!<sup>9</sup>

Czyż nie wyczuwa się tutaj istotnej różnicy pomiędzy naszymi czasami a dopiero co minioną epoką? Naszych czasów nie charakteryzuje już poczucie własnej skończonej doskonałości; wręcz przeciwnie, u samych ich korzeni pojawia się niejasne przeświadczenie, że czasy ostateczne, skończone, skamieniałe na wieki w ogóle nie istnieją. Przekonanie zatem, iż pewne czasy - czasy owej „nowoczesnej kultury” - są czymś skończonym i

<sup>6</sup> Odbiega od naszych czasów (przyp. Maria Dietl).

<sup>7</sup> Na monetach z czasów cesarza Hadriana odczytać można takie inskrypcje: *Italia Felix, Saeculum aureum, Tellus stabilita, Temporum felicitas*. Oprócz wspaniałej dokumentacji numizmatycznej Cohena, patrz także Rostovtzeff; *The Social and Economic History of the Roman Empire* (1926), tablica LII i 588, nota nr 6.

<sup>8</sup> Należy koniecznie przeczytać wspaniałą wypowiedź Hegla na temat czasów sytości i zadowolenia, zawartą we *Wstępie do jego Wykładów z filozofii dziejów* (Warszawa 1958, I.1).

<sup>9</sup> Pierwotne znaczenie słów „nowoczesny”, „nowoczesność”, które służą określaniu naszej epoki, wskazuje ostro i wyraźnie na obecność poczucia „wysokiego poziomu czasów”, które staram się tutaj przeanalizować. Nowoczesne (*moderno*) to to, co zgodne ze stanem (*modo*); oczywiście, w znaczeniu nowego stylu - nowatorstwa, mody - który w *określonej* teraźniejszości wypłynął ponad dawne, tradycyjne style. A zatem słowo „nowoczesny” wyraża zarówno świadomość istnienia nowego, lepszego niż dawniej życia, jak i imperatyw dorastania do poziomu czasów. Dla człowieka „nowoczesnego” - niebycie „nowoczesnym” jest równoznaczne z zapadnięciem się pod powierzchnię poziomu dziejowego.

ostatecznym, wydaje nam się dowodem ślepoty i niebawej wprost ciasnoty horyzontów. Zrozumiałwszy to, doznajemy zarazem rozkosznego uczucia, że udało nam się wydostać ze ślepego zaułka, że wyrwaliśmy się znowu na otwartą przestrzeń pod rozgwieżdżone niebo autentycznego świata, głębokiego, strasznego, pełnego tajemnic, nieodgadnionego i niewyczerpanego, gdzie wszystko jest możliwe - i dobro, i zło.

Wiara w kulturę nowoczesną była wiarą smutną; była przekonaniem, że jutro będzie w istocie rzeczy takie samo jak dziś, że postęp polega na wiecznym posuwaniu się wzdłuż drogi identycznej z tą, którą przebyliśmy wczoraj. Droga taka to raczej wydłużające się w nieskończoność więzienie, z którego nie ma ucieczki.

Kiedy w początkach cesarstwa przyjeżdżał do Rzymu jakiś subtelny i delikatny prowincjusz - na przykład Lukan czy Seneka - to widok majestatycznych budowli cesarskich, owych symboli władzy najwyższej, zatykał mu na pewno dech w piersiach. Na tym świecie nie można już było oczekiwać niczego nowego. Rzym był wieczny. Jeśli istnieje pewna melancholia ruin, która się nad nimi unosi jak opary nad martwymi wodami, to widok Rzymu musiał budzić u wrażliwego prowincjusza uczucie podobne, choć o przeciwnym znaku, jakim jest melancholia wiecznych budowli.

Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że w porównaniu z tamtym stanem emocjonalnym stan uczuć naszej epoki przypomina bardziej niefrasobliwą wesołość dzieci wybiegających ze szkoły po skończonych lekcjach? Teraz nie wiemy już, co się jutro stanie ze światem, i w głębi duszy nas to cieszy, bo ta nieodgadnioność, ów otwarty na wszystko horyzont stanowi o życiu autentycznym, o prawdziwej pełni życia.

Wyraźnie sprzeczne z tą diagnozą, którą oczywiście można by szerzej uzasadnić, jest narzekanie na dekadencję, ów płaczący lament zapełniający stronicę tyłu współczesnych dzieł. Jest to złudzenie optyczne, które wynika z wielu przyczyn. Omówimy je w innym miejscu; na razie chciałbym wskazać na tę najbardziej oczywistą. Wynika ona z tego, że wierni pewnej ideologii, moim zdaniem mocno już przestarzałej, widzimy w dziejach jedynie politykę czy kulturę, nie dostrzegając, że to tylko powierzchnia dziejów; że rzeczywistość historyczna to przede wszystkim czysta chęć życia, podobna do siły kosmicznej, nie ta sama, oczywiście, ale zbliżona do tej, która porusza morza, zapładnia zwierzęta, obsypuje drzewa kwiatami, powoduje migotanie gwiazd.

Diagnozom o dekadencji proponuję przeciwstawić następujące rozumowanie.

Dekadencja, czyli upadek, to niewątpliwie pojęcie komparatystyczne. Upada się z wyższego poziomu na niższy. Otóż tego typu porównań można dokonywać, patrząc na rzeczy z bardzo wielu najróżniejszych punktów widzenia. Dla fabrykanta produkującego bursztynowe fifki świat chyli się do upadku, bo dzisiaj nikt już prawie nie pali papierosów, pociągając dym przez bursztynową fifkę. Inne sposoby widzenia mogą być poważniejsze, co nie zmienia jednak faktu, że będą stronnicze, arbitralne i zewnętrzne w stosunku do samego życia, którego wartość staramy się właśnie ocenić. Jest tylko jeden naturalny i w pełni usprawiedliwiony punkt widzenia; by go osiągnąć, należy samemu umieścić się w nurcie życia i obserwować je od wewnątrz, starając się stwierdzić, czy ono samo odczuwa stan upadku, czyli jest słabe, mdłe i bezsilne.

No dobrze, założmy, że już patrzymy na życie od środka; jak mamy teraz poznać, czy czuje się ono w stanie dekadencji czy nie? Nie ulega dla mnie wątpliwości, że istnieje tutaj jeden decydujący symptom, a mianowicie: jeśli w życiu danego okresu nie widać preferencji dla żadnych poprzednich epok ze względu na zadowolenie z własnej, to w takim wypadku nie można w żadnym razie mówić o dekadencji. Do tego zmierzały całe moje rozważania na temat poziomu czasów. Bo właśnie w naszych czasach mamy do czynienia z nowym, zdumiewającym zjawiskiem, które, o ile mi wiadomo, jest w dotychczasowych dziejach czymś zupełnie wyjątkowym.

Podczas rozmów prowadzonych w salonach XIX wieku przez damy z wielbiącymi je poetami padało nieodmienne pytanie: W jakiej epoce chciałaby Pani (Pan) żyć?. I tu każdy z obecnych, biorąc na barki ciężar własnego życia, próbował krążyć wyobraźnią po drogach historii w poszukiwaniu epoki najbardziej dla niego odpowiedniej. A więc w wieku XIX mimo poczucia, że żyje się pełnią życia, lub właśnie ze względu na nie, nie zrywano związku z przeszłością, z której to pokolenie wyrosło, widząc siebie po prostu jako jej punkt szczytowy. Stąd też podziwiano jeszcze epoki względnie klasyczne - czasy Peryklesa, odrodzenie - w których kształtowały się ogólnie uznawane wartości. To już wystarczy, by obudzić w nas podejrzliwość wobec owych czasów pełni życia, zapatrzonych w przeszłość, stanowiących jakoby jej ukoronowanie.

No dobrze; a jaka byłaby szczerza odpowiedź na podobne pytanie jakiegokolwiek reprezentanta naszych czasów? Moim zdaniem, nie ulega wątpliwości, że każda, bez wyjątku, epoka historyczna wydałaby mu się zbyt ciasna, by mógł w niej oddychać. Znaczy to, iż człowiek współczesny ma poczucie, że jego życie jest bardziej życiem niż jakiegokolwiek inne, dawniejsze, albo też, mówiąc inaczej, że ramy dawnego życia są już dla niego za ciasne. Takie odczucie istoty naszego życia przekreśla z punktu wszelkie, choćby najbardziej ostrożne i nieśmiałe, wywody na temat dekadencji.

Przede wszystkim więc wydaje nam się, że nasze życie osiągnęło większy wymiar niż wszystkie inne. A zatem jak mogłoby ono mieć poczucie dekadencji. Sytuacja jest wręcz odwrotna; przez to, że czuje się bardziej życiem niż inne, straciło cały należny przeszłości szacunek. Dlatego też po raz pierwszy w dziejach mamy do czynienia z epoką, która czyni *tabula rasa* z wszelkiego klasycyzmu, która nie dostrzega w przeszłości żadnych

odpowiednich dla siebie wzorów czy norm, która, pomimo iż nastąpiła po tylu wiekach stopniowej ewolucji, sprawia wrażenie fazy początkowej, jutrzeńki rodzącego się dnia, okresu niemowlęstwa. Spoglądamy za siebie i sławny renesans wydaje nam się epoką wąskich horyzontów, prowincjonalizmu i żalonych gestów - w końcu, czemuż by nie użyć tego słowa? - epoką w *złym guście*.

Już wiele lat temu podsumowałem tę sytuację następującymi słowami: „Ten poważny rozdźwięk pomiędzy przeszłością a teraźniejszością jest w naszej epoce zjawiskiem powszechnym, należy zatem przypuszczać, że stąd też bierze swój początek charakterystyczny dla naszych czasów zamęt i ogólna dezorientacja. Czujemy, iż nagle my, ludzie teraźniejsi, zostaliśmy sami na ziemi, że zmarli nie umarli na niby, ale naprawdę, i że już nie mogą nam pomóc. Wyparowały już resztki ducha tradycji. Dawne modele, normy, wzory nie mają już zastosowania. Musimy teraz rozwiązywać swoje problemy bez aktywnego udziału przeszłości, sposobami w pełni teraźniejszymi - czy to w dziedzinie sztuki, nauki czy polityki. Europejczycy zostali sami, bez umarłych u swego boku, podobnie jak Piotr Schlemihl, utracili swój cień. Zawsze się tak dzieje, kiedy nadchodzi południe”.<sup>10</sup> Jaki jest więc w końcu ten poziom naszych czasów? Nie są to czasy pełni, a jednak epoka nasza czuje się wyższa ponad wszystkie inne, włącznie z owymi znanymi dotychczas czasami pełni. Określenie odczucia, jakie ma nasza epoka wobec samej siebie, nie jest rzeczą łatwą: uważa się za lepszą od pozostałych, a jednocześnie czuje się początkiem czegoś, zarazem nie będąc wcale pewną, czy to nie agonია. Jak więc ją określić? Może tak: lepsza od pozostałych epok, ale gorsza od samej siebie. Pełna sił, a zarazem niepewna swego przeznaczenia. Dumna z potęgi, która ją samą napawa lękiem.

## IV Rozrost życia

Panowanie mas, a także zwiastujący je wzrost poziomu, owego poziomu czasów, to symptomy innego, bardziej ogólnego zjawiska, nieomalże groteskowego i nieprawdopodobnego w swej oczywistości. Po prostu świat nagle się rozrósł, a wraz z nim i w nim samo życie. Życie stało się nagle naprawdę „światowe” i chce przez to powiedzieć, że treścią życia przeciętnego człowieka jest obecnie cały glob; że każda jednostka żyje życiem całego świata. Niewiele ponad rok temu mieszkańcy Sewilli śledzili, za pośrednictwem gazet, godzina po godzinie życie kilku osób zbliżających się do bieguna; to znaczy, że na tle spalonej słońcem Andaluzji dryfowały, znoszone prądami, góry lodowe. Żaden zakątek ziemi nie jest już zamknięty w swym geometrycznym obszarze, jego życie staje się w wielu momentach życiem pozostałych części świata. Przez to, że zgodnie z prawami fizyki rzeczy znajdują się tam, gdzie odczuwa się ich działanie, mamy teraz do czynienia z prawdziwą wszech-obecnością każdego miejsca na ziemi. Owa bliskość tego, co dalekie, owa obecność tego, co nieobecne, spowodowała cudowne wręcz rozszerzenie się horyzontów życia każdego człowieka.

Świat rozrósł się także w czasie. Prehistoria i archeologia odkrywają przed nami zamierzchłe epoki historyczne. Całe cywilizacje i imperia, których jeszcze zupełnie niedawno nie znaliśmy nawet z nazwy, zostały włączone do naszej pamięci jak nowe kontynenty. Dzięki magazynom ilustrowanym i kinu najdalsze zakątki świata znalazły się w polu widzenia przeciętnego człowieka.

Ale ten przestrzenno-czasowy rozrost świata sam w sobie nie miałby żadnego znaczenia. Fizyczna przestrzeń i czas to idealnie ograniczone elementy wszechświata. Dlatego też kult czystej szybkości, który chwilowo opanował naszych współczesnych, jest może bardziej usprawiedliwiony, niżby się to mogło zdawać na pierwszy rzut oka. Szybkość, na którą składa się przestrzeń i czas, nie jest bardziej ograniczona od swoich części składowych; natomiast służy ich zacieraniu. Ograniczoność mogą pokonać jedynie inne granice. Człowiek uważał zawsze za punkt honoru opanowanie przestrzeni kosmicznej i czasu<sup>11</sup>, co jest zupełnie pozbawione sensu. Nie ma się co dziwić, że sprawia nam dzieciinną przyjemność sama szybkość, dzięki której zabijamy przestrzeń i pokonujemy czas. Unicestwiając przestrzeń i czas, zarazem je ożywiamy. Sprawiamy, że użyczając nam swej żywotności, możemy *przebywać* w większej liczbie miejsc niż kiedyś, możemy się cieszyć większą liczbą przyjazdów i odjazdów, w krótszym czasie życia możemy zużyć więcej czasu kosmicznego.

Jednak w ostatecznym rachunku istotny rozrost świata nie polega na zwiększaniu się jego wymiarów, lecz na tym, że mieści się w nim więcej rzeczy.

Rzecz - w najszerszym tego słowa znaczeniu - jest tym wszystkim, czego można pożądać, co można zniszczyć, co można napotkać, co można kochać i co można nienawidzić: wszystkie te nazwy oznaczają najróżniejszy rodzaj czynności życiowej.

<sup>10</sup> J. Ortega y Gasset, *Dehumanizacja sztuki i inne eseje*, przeł. P. Niklewicz, Warszawa 1980, s. 277.

<sup>11</sup> Ponieważ człowiek jest śmiertelny - czas jego życia jest ograniczony - odczuwa nieodpartą potrzebę pokonywania odległości i czasu. Dla Boga, którego istnienie jest nieskończone, posiadanie samochodu nie miałoby najmniejszego sensu.

Weźmy na przykład taką czynność jak kupowanie. Wyobraźmy sobie dwu ludzi, jednego żyjącego obecnie, a drugiego w XVIII wieku, założmy, że mają podobny majątek, proporcjonalny do wartości pieniądza w obu epokach i porównajmy teraz wachlarz możliwości kupna otwierający się przed jednym i przed drugim. Różnica jest olbrzymia. Możliwości kupna stojące przed dzisiejszym człowiekiem są praktycznie rzecz biorąc nieograniczone. Nie jest łatwo wyobrazić sobie coś, na co mielibyśmy ochotę, a czego nie ma na rynku i odwrotnie: niemożliwością jest ogarnięcie wyobraźni - a tym bardziej pożądanie - wszystkiego, co jest w sprzedaży. Mówiono mi, że rozporządzając proporcjonalnie takim samym majątkiem człowiek dzisiejszy nie może kupić więcej rzeczy, niż to mógł zrobić człowiek z XVIII wieku. To nieprawda. Dziś można kupić bez porównania więcej rzeczy, ponieważ dzięki produkcji przemysłowej prawie wszystkie artykuły rynkowe wyraźnie staniały. Zresztą, dla moich rozważań nie jest ważne, czy to zjawisko jest udowodnione czy nie; chodzi o to, że dobrze obrazuje to, co miałem na myśli.

Czynność kupowania polega na zdecydowaniu się na jakiś przedmiot; tym samym najpierw jest wyborem, a ten z kolei zaczyna się od zdania sobie sprawy z oferowanych przez rynek możliwości. Wynika z tego, że życie, w sensie „kupowania”, polega przede wszystkim na przeżyciu możliwości kupna jako takich. Kiedy mówimy o życiu, zapominamy często o sprawie według mnie najbardziej istotnej, a mianowicie o tym, że życie nasze to przede wszystkim świadomość tego, co dla nas jest możliwe. Gdybyśmy zawsze mieli przed sobą tylko jedną możliwość, to nie byłoby sensu tak jej nazywać. Byłaby to raczej czysta konieczność. Podstawowy warunek istnienia tego zdumiewającego zjawiska, które zwie się naszym życiem, polega na tym, iż zawsze napotyka przed sobą różne drogi, a że jest ich wiele, nabierają one cech możliwości, spośród których zdecydować się musimy na jedną.<sup>12</sup> Powiedzieć, że żyjemy, to tyle, co powiedzieć, że należymy do środowiska określonych możliwości. Ten okalający nas obszar nazywamy zazwyczaj „okolicznościami”. Życie to przebywanie w pewnych „okolicznościach”, czyli w świecie.<sup>13</sup> Takie jest bowiem pierwotne znaczenie pojęcia „świat”. Świat jest zbiorem stojących przed nami możliwości życiowych. Nie jest więc jakimś elementem obcym, stojącym poza naszym życiem, lecz stanowi jego autentyczną ramę. Przedstawia sobą to, czym możemy być, czyli to, co jest naszą możliwością życiową. Ta ostatnia musi się skonkretyzować, aby się urzeczywistnić, albo, innymi słowy, udaje nam się być jedynie drobną cząstką tego, czym moglibyśmy być. Dlatego też świat wydaje się nam tak ogromny, a my w nim tacy malutcy. Świat lub nasze możliwe życie zawsze przerasta nasze przeznaczenie lub nasze życie faktyczne.

Teraz chciałbym jednak przede wszystkim zwrócić państwu uwagę na to, jak rozrosło się życie ludzkie w jego możliwościowym wymiarze. Otóż obejmuje ono obszar możliwości nieporównywalnie większy niż kiedykolwiek przedtem. W dziedzinie intelektu napotykamy obecnie więcej sposobów dochodzenia do istoty zjawisk, więcej problemów, więcej nauk, więcej danych, więcej punktów widzenia. Podczas gdy w życiu pierwotnym zajęcia czy „zawody” policzyć można było na palcach jednej ręki: pasterz, myśliwy, wojownik, czarownik, to w chwili obecnej ich liczba jest bez porównania większa. Podobnie ma się sprawa z rozrywkami - a zjawisko to ma większą wagę, niż mu się zazwyczaj przypisuje - chociaż w tej dziedzinie zestaw możliwości nie jest tak obfity jak w innych. Nie ulega jednak wątpliwości, że przeciętny mieszkaniec miast - a miasta reprezentują współczesny styl życia - ma bez porównania większe możliwości zabawy i rozrywki, niż to miało miejsce jeszcze przed stu laty.

Co więcej, wzrost możliwości życiowych nie ogranicza się do tego, o czym dotychczas była mowa. Wzrosły one również w znaczeniu bardziej bezpośrednim i zagadkowym. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że w dziedzinie wysiłku fizycznego, w sporcie, osiąga się obecnie *wyniki* znacznie lepsze od wyników znanych z przeszłości. Nie wystarczy je podziwiać, odnotowując w pamięci kolejne *rekordy*, należy także zdać sobie sprawę z wpływu, jaki wywierają, utwierdzając nas w przekonaniu, że w naszych czasach organizm ludzki posiada większe zdolności, niż to miało miejsce kiedykolwiek w przeszłości. Podobnie ma się sprawa z nauką. W ciągu zaledwie kilku pięcioleci jej horyzonty kosmiczne rozszerzyły się w sposób wręcz niewiarygodny. Fizyka Einsteina obraca się w przestrzeniach, w porównaniu z którymi dawna fizyka Newtona wydaje się zajmować niewielkie poddasze.<sup>14</sup> Ów ekstensywny rozrost wypływa z intensywnego wzrostu naukowej precyzji. W fizyce Einsteina przywiązuje się dużą wagę do najdrobniejszych nawet różnic, które niegdyś lekceważono i pomijano jako nie mające żadnego znaczenia. W końcu atom, będący wczoraj najdrobniejszą cząstką świata, obecnie rozrósł się do gigantycznych rozmiarów, sam się przekształcając w cały system planetarny. W tych rozważaniach nie chodzi o coś, co można by określić jako doskonalenie się kultury - to mnie na razie nie interesuje - lecz o wzrost subiektywnych możliwości w tej dziedzinie. Nie chodzi o to, że fizyka Einsteina jest dokładniejsza od fizyki Newtona, lecz o to, że człowiek nazwiskiem Einstein był w stanie osiągnąć większą

<sup>12</sup> W najgorszym razie, kiedy świat wydaje się sprowadzony do jednej możliwości, jednej drogi, to i tak są zawsze dwie: ta oraz zejście z tego świata. Ale zejście ze świata jest także częścią świata, tak samo jak drzwi są częścią składową pokoju.

<sup>13</sup> Piszę o tym także we wstępie do swej pierwszej książki: *Meditaciones del Quijote* (1916). W *Las Atlantidas* nazywam to horyzontem. Patrz także esej *El origen deportivo del Estado*, zawarty w VII tomie *El Espectador*, Madrid 1930.

<sup>14</sup> Świat Newtona był nieskończony; ale ta nieskończoność nie dotyczyła rozmiarów, była jedynie pustym ogólnikiem, abstrakcyjną utopią. Świat Einsteina jest skończony, ale w każdym punkcie pełny i rzeczywisty; jest to zatem świat bogatszy w rzeczy i w rezultacie przestrzennie większy.

precyzję i swobodę intelektualną<sup>15</sup> niż człowiek o nazwisku Newton, tak samo jak współczesny mistrz boksu wymierza silniejsze ciosy niż mistrzowie dawniejsi.

Podobnie jak dzięki filmom i ilustracjom najdalsze zakątki kuli ziemskiej znalazły się w polu widzenia przeciętnego człowieka, tak samo dzięki gazetom i codziennym rozmowom docierają do niego wiadomości o wspaniałych *osiągnięciach* intelektualnych, znajdując swe potwierdzenie w najnowszej aparaturze technicznej, która wabi przechodniów z witryn sklepowych. Wszystko to razem sprawia, iż w umyśle przeciętnego człowieka rodzi się przemożne poczucie wyższości.

Nie chcę przez to powiedzieć, że życie ludzkie jest dzisiaj lepsze niż było dawniej. Nie miałem na myśli jakości dzisiejszego życia, a jedynie jego rozrost, jego ilościowy albo potencjalny rozwój. Chciałem za jego pomocą dokładnie opisać świadomość człowieka współczesnego, siły witalne polegające na poczuciu, iż stoją przed nim olbrzymie, większe niż kiedykolwiek, możliwości, wobec których cała przeszłość sprawia wrażenie karła.

Opis ten był mi potrzebny do tego, by odsunąć na bok myśli o dekadencji, a szczególnie o schyłku Zachodu, tak rozpowszechnione w ostatnim dziesięcioleciu. Przypomnijmy tu przeprowadzone wcześniej rozumowanie, które wydaje mi się równie proste, co oczywiste. Nie można mówić o schyłku, nie precyzując dokładniej, co chyli się ku upadkowi. Czy to pesymistyczne określenie odnosi się do kultury? Czy mamy obecnie do czynienia z upadkiem kultury europejskiej? Czy może raczej chodzi o schyłek europejskich organizacji narodowych? Prawdopodobnie o to właśnie chodzi. Ale czy to wystarczy, by można było mówić o schyłku Zachodu? W pewnym sensie tak. Tego typu dekadencje są upadkami cząstkowymi, dotyczącymi drugorzędnych elementów dziejowych, takich jak kultura i narody. Jest tylko jedna dekadencja absolutna: ta, która polega na wysychaniu sił żywotnych, a o tym można mówić tylko wtedy, kiedy się to czuje. Dlatego też poświęciłem tu tyle miejsca rozważaniom na temat zjawiska, któremu często nie poświęca się należytej uwagi, a mianowicie: świadomości czy odczucia, które są związane z poziomem życia odmiennym dla każdej epoki.

Skłoniło nas to do omówienia poczucia „pełni” odczuwanego przez pewne epoki, które pozostają w jaskrawym kontraście do odczuć innych epok, poczuwających się do dekadencji, do upadku z wyzyna dawnego, złotego wieku. Zakończyłem te rozważania stwierdzeniem oczywistego faktu, że nasze czasy charakteryzują się dziwnym, przyjętym z góry założeniem o ich wyższości w stosunku do wszelkiej innej epoki, a nawet więcej, że ludzie czują się oderwani od przeszłości, nie rozumieją i nie szanują dawnych epok klasycznych i ich zasad, zapatrzeni we własne życie, nowe i wspanialsze od wszystkich poprzednich.

Wątpię, aby bez dogłębnego zdania sobie sprawy z tego, co powyżej powiedziałem, można było zrozumieć nasze czasy, bo to właśnie jest ich problemem. Gdyby same siebie ujmowały jako okres dekadencji, to miałyby poczucie niższości w stosunku do innych, lepszych epok, a to byłoby równoznaczne z podziwem i szacunkiem dla zasad, które leżały u ich podstaw. Stojące przed naszymi oczami cele i ideały byłyby więc jasne i wyraźne, nawet gdyby brakowało sił i możliwości do ich urzeczywistnienia. Prawdą jednak jest coś przeciwnego: żyjemy w epoce, którą cechuje poczucie olbrzymich możliwości realizacji, ale która nie wie, co ma realizować. Panuje nad wszystkimi rzeczami, ale nie jest panią samej siebie. Czuje się zagubiona w nadmiarze własnych możliwości. Okazuje się, że współczesny świat mimo tego, iż dysponuje większą ilością środków, większą wiedzą, większymi niż kiedykolwiek przedtem możliwościami technicznymi, posuwa się naprzód w sposób najbardziej prymitywny, po prostu bezwolnie dryfując.

Stąd bierze się owa dziwna dwoistość poczucia siły, a zarazem zagubienia, które zagnieździło się w duszy współczesnej. O naszej epoce można powiedzieć to samo, co mawiano o regencie panującym w okresie dzieciństwa Ludwika XV, mianowicie, że ma wszystkie talenty z wyjątkiem talentu posługiwania się nimi. W wieku XIX, owej epoce niezachwianej wiary w postęp, wydawało się, że wiele rzeczy jest *już* niemożliwych. Dziś, kiedy wszystko wydaje się nam możliwe, przeczuwamy, że możliwe może być też to, co najgorsze: cofnięcie się w rozwoju, barbarzyństwo, upadek<sup>16</sup>. Sam w sobie nie byłby to jeszcze objaw zły; oznaczałby, że ponownie stykamy się z niepewnością, która jest właściwością wszelkiego życia, z niepokojem zarazem bolesnym i rozkosznym, którego nie szczędzi nam każda chwila, o ile tylko potrafimy ją przeżyć do końca, do samego pulsującego jądra. Zazwyczaj uciekamy od owego napawającego trwogą tętna, dzięki któremu każda prawdziwie przeżyta chwila zamienia się w uciekające w dal malutkie serce; staramy się nabrać pewności, znieczulając się na bezwzględny dramat naszego przeznaczenia chloroformem obyczajów, że po raz pierwszy od prawie trzech wieków stajemy wobec świadomości, że nie wiemy, co nam przyniesie jutro.

Każdy, kto przybiera wobec życia postawę poważną, przyjmując za nią pełną odpowiedzialność, musi odczuwać pewnego rodzaju niepewność, która go skłania do ciągłej czujności. Regulamin legionów rzymskich nakazywał wartownikom trzymanie na wargach palca wskazującego, co miało ułatwić bezsenność i zachowanie czujności. Nie jest to zły gest, wydaje się nakazywać absolutną ciszę, ciszę nocną, tak byśmy mogli słyszeć jak

<sup>15</sup> Swobodę intelektualną, to znaczy potencję umysłu mierzy się stopniem, w jakim jest on zdolny rozdzielać pojęcia tradycyjnie nierozłączne. Rozdzielanie pojęć jest czymś znacznie trudniejszym niż ich łączenie ze sobą czego dowiódł Kohler swymi badaniami nad inteligencją szympanów. Nigdy dotąd intelekt ludzki nie miał takiej zdolności rozdzielania pojęć jak obecnie.

<sup>16</sup> Stąd biorą się diagnozy o dekadencji. Nie chodzi o to, że jesteśmy dekadentami, lecz o to, że będąc gotowi przyjąć każdą możliwość, nie wykluczamy także dekadencji.

rośnie przyszłość. Pewność właściwa epokom „pełni” - odnosi się to także do zeszłego wieku - polega na złudzeniu optycznym, które prowadzi do nieprzejmowania się przyszłością, wytyczanie zaś jej kierunków pozostawia mechanice wszechświata. Zarówno postępowy liberalizm, jak i socjalizm Marksa zakłada, iż upragniona, idealna przyszłość nastanie kiedyś w sposób nieunikniony, będąc wynikiem konieczności podobnej tej, z jaką mamy do czynienia w astronomii. I jedni, i drudzy, chronieni przez tę ideę przed własną świadomością, wypuszczają z ręki ster historii, przestają być czujni, tracą elastyczność i skuteczność działania. W ten sposób życie wymyka im się z rąk, wypowiada im posłuszeństwo i uwolnione z wszelkich więzów mknie teraz w jakimś nieznanym kierunku. Postępowiec, przybierając maskę doskonałego futurysty, nie zajmuje się przyszłością; jest przekonany o tym, że ta ostatnia nie kryje żadnych tajemnic czy niespodzianek, że nie czeka nas żadna istotna nowość, a będąc przeświadczony o tym, że świat rozwija się już we właściwym kierunku, bez odchyłeń czy kroków wstecz, traci niepokój co do przyszłości. Czy może nas zatem dziwić, że dzisiejszy świat wydaje się pozbawiony zamierzeń, oczekiwań czy ideałów. Nikt nie zajmował się ich formułowaniem. Taki był rezultat zejścia ze sceny historii kierowniczych mniejszości stanowiący zawsze odwrotną stronę medalu buntu mas.

Ale czas już, byśmy wrócili do tej właśnie sprawy. Po wskazaniu dobrych stron buntu mas należy teraz spojrzeć na te złe i bardziej niebezpieczne.

## V

### Dane statystyczne

W tym eseju chciałbym postawić z grubsza diagnozę naszych czasów, naszego współczesnego życia. Pierwsza jej część została już przedstawiona, można ją streścić w następujących słowach: nasze życie jako zbiór możliwości jest wspaniałe, bujne i bogate, lepsze od wszystkich znanych z historii. Dlatego właśnie, że jest większego formatu, wystąpiło z brzegów tradycyjnych zasad norm i ideałów. Jest bardziej życiem niż wszystkie dawniejsze życia i przez to samo jest bardziej problematyczne. Nie może kierować się wzorami z przeszłości.<sup>17</sup> Musi odnaleźć własne przeznaczenie.

Należałoby więc teraz uzupełnić tę diagnozę. Życie, które jest przede wszystkim tym, czym być możemy, to życie możliwe, polega także przez to samo na rozstrzygnięciu wśród licznych możliwości tego, czym mamy faktycznie być. Okoliczności i rozstrzygnięcia są dwoma podstawowymi składnikami życia. Okoliczności, czyli możliwości, są tym, co naszemu życiu zostało narzucone, co zastaliśmy gotowe. Stanowią to, co nazywaliśmy światem. Życie nie wybiera sobie świata, żyć to znaczy znaleźć się w świecie, określonym i niewymienialnym, w tym dzisiejszym świecie. Nasz świat jest wymiarem przeznaczenia, które scala nasze życie. Ale to przeznaczenie życiowe nie przypomina mechanicznego przeznaczenia. Nie zostaliśmy wystrzeleni w życie na kształt kuli karabinowej, której trajektoria jest całkowicie z góry określona. Przeznaczenie, które przypada nam w udziale, kiedy przychodzimy na ten świat - a świat, to zawsze *ten* świat, ten dzisiejszy - jest czymś zupełnie innym. Zamiast narzucać nam jedną trajektorię, narzuca ich wiele i w konsekwencji zmusza nas... do wyboru. Zdumiewający warunek ludzkiego żywota! Żyć to znaczy czuć się zmuszonym *przez przeznaczenie* do wolności, do rozstrzygnięcia o tym, kim w tym świecie będziemy. Nie dana nam jest ani chwila wytchnienia od podejmowania decyzji. Nawet kiedy zrozpaczeni poddamy się losowi, wtedy także postanawiamy niczego więcej nie postanawiać.

A zatem fałszywe jest stwierdzenie, że w życiu „rozstrzygają okoliczności”. Wręcz przeciwnie: okoliczności stawiają nas przed wiecznie nowymi dylematami i zmuszają do ich rozstrzygnięcia. Ale to my rozstrzygamy, rozstrzyga o tym nasz charakter.

Wszystko to odnosi się także najpierw do życia zbiorowego. Również w tym wypadku mamy najpierw do czynienia z szerokim wachlarzem możliwości, a następnie z postanowieniem, które wybiera i przesądza faktyczny tryb życia zbiorowego. Owo postanowienie wypływa z charakteru danej społeczności, albo też, co na jedno wychodzi, typu człowieka, który w niej dominuje. W naszych czasach, w społeczeństwie dominuje człowiek masowy; to on jest tym, kto rozstrzyga. Nie chcę przez to powiedzieć, że dzieje się tak już w epoce demokracji, w czasach powszechnych wyborów. W wyborach powszechnych masy nie podejmują decyzji, ich rola polega na przyłączeniu się do decyzji podjętej przez taką czy inną mniejszość. Te ostatnie przedstawiają swoje „programy” - znakomite słówko. Programy te są w istocie programami życia zbiorowego. Nakłania się w nich masy do zaakceptowania pewnego projektu decyzji.

Dziś dzieje się coś zupełnie innego. Jeśli się patrzy na życie publiczne w krajach, gdzie sukcesy mas są ostatnio największe, a mam tu na myśli kraje śródziemnomorskie, to najbardziej zdumiewa fakt, że pod

<sup>17</sup> Ze wzorów przeszłości można jednak korzystać, ale już nie w sensie pozytywnym, tylko negatywnym. Przeszłość nie powie nam, co mamy robić, powie nam za to, czego mamy unikać.

względem politycznym żyje się tam z dnia na dzień. Jest to zjawisko nader dziwne. Władza publiczna znajduje się w rękach przedstawiciela mas, które są tak potężne, że zniszczyły całkowicie wszelką możliwą opozycję. Opanowały władzę publiczną w tak wielkim stopniu, że trudno byłoby znaleźć w dziejach okresy tak potężnych i wszechogarniających rządów. A jednak władza publiczna, rząd, żyje z dnia na dzień; nie przedstawia się jako zwiastun jakiejś wyraźnie określonej przyszłości, nie sprawia wrażenia początku czegoś, czego rozwój czy ewolucję można by sobie wyobrazić. Ogólnie biorąc, nie posiada programu, działa bez planu na przyszłość. Nie wie, dokąd zmierza, bo też w istocie rzeczy donikąd nie dąży, nie idzie żadną określoną drogą, nie obiera żadnej z góry przewidzianej trajektorii. Owa władza publiczna, pragnąc usprawiedliwić swe istnienie, nie napomyka nawet o przyszłości, ogranicza się do czasu teraźniejszego, powiadając z rozbrajającą szczerością: „Jestem narzuconą przez okoliczności, nadzwyczajną formą rządu”, to znaczy, iż rządzi ona dlatego, że domaga się tego teraźniejszość, a nie przez wzgląd na przyszłość. Stąd też jej działalność sprowadza się do unikania konfliktów dnia dzisiejszego. Władza nie dąży do ich rozwiązywania, lecz od nich ucieka, posługując się dla ich chwilowego zażegnania wszystkimi dostępnymi środkami, nie zważając nawet na to, że ich użycie może już w niedalekiej przyszłości zrodzić jeszcze poważniejsze konflikty. Tak zawsze wygląda bezpośrednia władza publiczna mas - jest zarazem wszechwładna i efemeryczna. Człowiek masowy to człowiek, którego życie nie ma wytkniętego celu, a on sam bezwładnie i bezwolnie dryfuje. Dlatego też niczego nie tworzy, choć jego możliwości, jego władza mogą być olbrzymie.

W naszych czasach właśnie tego typu ludzie podejmują decyzje. Dobrze byłoby więc poddać analizie ich charakter.

Klucz do analizy znajdziemy powracając do początku eseju, gdzie zadaliśmy sobie pytanie: skąd wzięły się owe tłumy, które obecnie szczerlnie wypełniają scenę dziejów?

Parę lat temu wybitny ekonomista, Werner Sombart, wystąpił z kilkoma podstawowymi danymi statystycznymi, które, o dziwo, nie dotarły jakoś do świadomości wszystkich zajmujących się problemami współczesności. Już same te liczby wystarczą do wyjaśnienia naszej wizji współczesnej Europy, a nawet jeśli nie okażą się wystarczające, to w każdym razie pomogą nam do jej zrozumienia. Są to następujące dane: od wieku VI, kiedy to zaczyna się historia Europy, do roku 1800 - to znaczy przez dwanaście wieków - liczba ludności Europy nie zdołała przekroczyć 180 milionów. Natomiast w okresie od 1800 do 1914 - a zatem w nieco ponad sto lat - liczba ludności Europy wzrosła od 180 do 460 milionów! Uważam, iż porównanie tych dwu liczb wystarczy, by rozproszyć wszelkie wątpliwości co do możliwości rozrodczych ubiegłego wieku. W ciągu trzech pokoleń wyprodukował on tak olbrzymią masę ludzką, że załaziła ona jak lawa scenę dziejów. Jeszcze raz powtarzam, do zrozumienia obecnego triumfu mas wystarczyłyby już same te dane, które go zwiastują i w których znajduje on swoje odbicie. Z drugiej strony, należy jeszcze dodać, jako najbardziej konkretny składnik, rozrost życia, o którym była już mowa uprzednio.

Dane te wskazują również na to, że zupełnie nieuzasadniony jest podziw, z jakim mówimy o wzroście ludnościowym nowych krajów, takich jak na przykład Stany Zjednoczone Ameryki. Zadziwia nas to, że w ciągu jednego wieku udało im się osiągnąć liczbę 100 milionów mieszkańców, podczas gdy prawdziwie zdumiewająca jest płodność Europy. Mamy tu jeszcze jeden powód do odrzucenia tezy o amerykańzowaniu Europy. Nawet ta cecha, która w sposób najbardziej oczywisty zdawała się charakteryzować Amerykę - szybkość przyrostu ludności - nie jest bynajmniej jej tylko właściwa. W minionym wieku liczba ludności w Europie wzrosła bez porównania bardziej niż w Ameryce. Nadmiar ludności w Europie stworzył Amerykę.

Chociaż dane zebrane przez Wenera Sombarta nie są tak szeroko znane, jak by na to zasługiwały, to i tak fakt znacznego przyrostu ludności europejskiej jest dość oczywisty i wiadomy, by dalej się już nad nim nie rozwodzić. Tak więc, nie interesują mnie tutaj przytoczone wyżej cyfry dotyczące liczby ludności, lecz to, że ich porównanie uwypukla przecież oszałamiające tempo tego przyrostu. Tylko to ma teraz dla nas wagę. Owa zawrotna szybkość reprodukcji oznacza, że na scenę dziejów ciskano masy ludzkie całymi garściami, i to w tak przyspieszonym tempie, że trudno było je przepoić wartościami tradycyjnej kultury.

Wskutek tego dzisiejszy przeciętny Europejczyk ma psychikę zdrowszą i silniejszą, ale zarazem bardziej prymitywną niż jego przodkowie z XIX wieku. Dlatego też sprawia nieraz wrażenie człowieka pierwotnego przeniesionego niespodziewanie w sam środek jakiejś starej cywilizacji. Szkoły, z których tak dumny był wiek miniony, uczyły masy jedynie posługiwania się technikami nowoczesnego życia, ale nie były w stanie ich wychować. Dano im narzędzia pozwalające intensywnie żyć, ale nie uwrażliwiono ich na wielkie historyczne obowiązki; zaszczepiono im gwałtownie pychę i moc nowoczesnych środków działania, ale nie ducha. Dlatego też duch nie jest im do niczego potrzebny; nowe pokolenia przejmują rządy nad światem, tak jakby był on rajem, na którym nie odcisnęły się żadne ślady przeszłości i jakby nie istniały wyrastające z tradycji skomplikowane problemy.

Tak więc wypłynięcie na powierzchnię dziejów olbrzymich tłumów to zasługa i odpowiedzialność minionego wieku. Fakt ten sam w sobie stwarza odpowiednią perspektywę do sprawiedliwej oceny tego stulecia. Musiało w nim być coś nadzwyczajnego, nieporównywalnego, skoro udało mu się zebrać tak obfite ludzkie żniwo. Dziwne i bez sensu byłoby preferowanie zasad leżących u podstaw innych epok, o ile się przedtem nie pojęło, należycie nie przetrawiło wagi i znaczenia powyższego faktu. Cała historia sprawia wrażenie

gigantycznego laboratorium, w którym czyniono wszystkie możliwe próby, by otrzymać wzór życia publicznego najbardziej korzystny dla rozwoju „rośliny ludzkiej”. Po wykonaniu wszystkich możliwych prób stanęliśmy w obliczu faktu, iż poddając nasienie ludzkie działaniu dwu czynników: demokracji liberalnej i techniki udało się w ciągu jednego wieku potroić populację gatunku europejskiego.

Fakt aż tak uderzający zmusza nas - o ile oczywiście nie wolimy nie dostrzegać faktów - do uznania następujących konsekwencji: po pierwsze, oparta na technice demokracja liberalna jest najwyższym z dotychczas znanych typem życia publicznego; po drugie, ten typ życia nie jest najlepszy, jaki sobie można wyobrazić, ale najlepszy musiałby także zawierać to, co w tych dwóch czynnikach jest najistotniejsze; i po trzecie, samobójstwem byłby jakikolwiek nawrót do form życia poprzedzających wiek XIX.

Raz uznawszy to wszystko z całą jasnością, jakiej wymaga oczywistość faktów, należy teraz zwrócić się przeciwko wiekowi dziewiętnastemu.

Podobnie jak oczywiste jest to, że byłoby w nim coś nadzwyczajnego, nieporównywalnego, tak samo oczywiste jest i to, że musiało w nim tkwić jakieś podstawowe zło, że posiadał jakieś ograniczone niedostatki, skoro zrodził kastę ludzi, ludzi masowych i zbuntowanych. Oni to obecnie stawiają w stan zagrożenia samo istnienie tych właśnie zasad, którym zawdzięczają swą egzystencję. Jeśli ten typ ludzi będzie w dalszym ciągu panował w Europie - a nie ulega wątpliwości, że teraz ci właśnie ludzie o wszystkim rozstrzygają - to wystarczy trzydzieści lat, aby cały nasz kontynent cofnął się do epoki barbarzyństwa. Techniki prawne i materialne ulatniają się z równą łatwością, z jaką uległo zapomnieniu tyle najróżniejszych tajemnic produkcji.<sup>18</sup> Życie kurczy się. Obecna obfitość możliwości przekształca się w ich zanik, w poczucie męczącej niemożności; nastąpi okres prawdziwej dekadencji. Dlatego też bunt mas to nic innego jak opisana przez Rathenaua „wertykalna inwazja barbarzyńców”.

Ważne jest zatem gruntowne poznanie tego człowieka masowego, który jest czystą możliwością zarówno największego dobra, jak największego zła.

## VI

### Wstęp do anatomii człowieka masowego

Jaki jest zatem ów człowiek masowy, który zdominował dziś życie publiczne - zarówno polityczne, jak i pozapolityczne? Dlaczego jest taki, jaki jest, czyli jak do tego doszło, że się takim stał?

Odpowiedzieć trzeba od razu na oba pytania, bo odpowiedzi te wzajemnie się uzupełniają. Ludzie, którzy dążą obecnie do wysunięcia się na czoło europejskiego życia, bardzo się różnią od tych, którzy w XIX wieku temu życiu nadawali ton, choć jednak przyjsię ich przygotowane było i ukształtowane przez wiek XIX. Każdy człowiek o przenikliwym umyśle, żyjący w latach 1820, 1850 czy 1880, mógł dzięki prostemu rozumowaniu przewidzieć *a priori* powagę obecnej sytuacji historycznej. I rzeczywiście, nie dzieje się dzisiaj nic nowego, czego by z góry nie przewidziano już sto lat temu. „Masy nacierają” powiadał apokaliptycznie Hegel. „Jeśli nie znajdzie się nowa siła duchowa, to nasza epoka, która jest epoką rewolucyjną, skończy się katastrofą”, zapowiadał August Comte. „Widzę nadciągającą falę nihilizmu!” - wołał ze skał Engandyny wąsacz Nietzsche. Nieprawdą jest twierdzenie, że toku dziejów nie można przewidzieć; przepowiadano go już niezliczoną ilość razy. Jeśli przyszłość nie byłaby do przewidzenia, to pozostałaby niezrozumiała nawet wtedy, kiedy się spełnia i staje się sama czasem przeszłym. Myśl, że historyk jest odwrotnością proroka, zawiera streszczenie całej filozofii dziejów. Oczywiście, przewidzieć można jedynie ogólną strukturę przyszłości; ale przecież po prawdzie to samo odnosi się do pojmowania teraźniejszości oraz przeszłości. Dlatego też, jeśli chce się dobrze widzieć swoją epokę, to trzeba na nią patrzeć z daleka. Z jak daleka? To bardzo proste: dokładnie z takiej odległości, z jakiej nos Kleopatry przestaje być widoczny.

Jak przedstawia się życie tego człowieka tłumnego, którego taką obfitość zrodził i ciągle jeszcze rodzi wiek XIX? Przede wszystkim cechują je powszechne ułatwienia w sprawach materialnych. Nigdy dotąd przeciętny człowiek nie miał takiej łatwości w rozwiązywaniu swoich problemów ekonomicznych. Podczas gdy, proporcjonalnie rzecz biorąc, topniały wielkie fortuny, a życie robotników przemysłowych było coraz cięższe, horyzont ekonomiczny przeciętnego człowieka z jakiegokolwiek klasy społecznej stawał się z dnia na dzień coraz szerszy i jaśniejszy. Każdego dnia jego poziom życia wzbogacał się o jakiś nowy zbytek. Z każdym dniem jego pozycja zyskiwała na pewności i coraz większej niezależności od cudzej woli i decyzji. To, co kiedyś uważano

<sup>18</sup> Hermann Weyl, jeden z najwybitniejszych współczesnych fizyków, towarzysz i kontynuator Einsteina, zwykł mawiać w prywatnych rozmowach, że gdyby nagle umarło dziesięć czy dwanaście określonych osób, to jest sprawą prawie pewną, że cały wspaniały wręcz dorobek fizyki współczesnej byłby dla ludzkości na zawsze zaprzepaszczone. Trzeba było wielu wieków, by przygotować umysł ludzki do poruszania się w abstrakcyjnych zawiłościach fizyki teoretycznej. Jakieś przypadkowe zdarzenie mogłoby unicestwić te wspaniałe możliwości stojące przed ludzkością, które ponadto są podstawą techniki przyszłości.



za dobrodziejstwo losu, budzące w człowieku pokorne poczucie wdzięczności, teraz przekształciło się w prawo, za które nie jest się wdzięcznym, lecz którego się wymaga.

Od roku 1900 również robotnik zaczyna nabierać poczucia pewności, a życie jego staje się coraz pełniejsze. Musi jednak o to walczyć. Znajduje się bowiem w innej sytuacji niż członek klasy średniej, któremuspołeczeństwo oraz państwo zapewniają dobrobyt; oba stanowią cud sprawnej organizacji.

Do łatwości i pewności ekonomicznej należy jeszcze dodać fizyczną: komfort i porządek publiczny. Życie toczy się po wygodnej drodze i wydaje się mało prawdopodobne, by miały je zakłócić jakieś gwałtowne i niebezpieczne wstrząsy.

Siłą rzeczy taka otwarta i swobodna sytuacja sprawia, iż w najgłębszych pokładach dusz zwyczajnych ludzi ugruntowuje się życiowe przekonanie, że „wielka i szeroka jest Kastylia”, jak to zgrabnie i celnie ujmuje stare powiedzenie ludowe. To znaczy, że współczesnemu człowiekowi życie we wszystkich jego podstawowych i najbardziej istotnych dziedzinach jawi się jako *pozbawione trudności i problemów*. W pełni docenić wagę tego faktu można dopiero wtedy, kiedy się sobie uzmysłowi, że w przeszłości taka lekkość i łatwość życia była dla ludzi prostych czymś zupełnie nieosiągalnym. Wręcz przeciwnie, życie rysowało im się jako ciężkie i pełne znoju przeznaczenie - zarówno w sensie ekonomicznym, jak i fizycznym. Odbierali je *a nativitate* jako nagromadzenie trudności i kłesk, które trzeba cierpliwie znosić, skoro jedynym wyjściem jest pogodzenie się z losem i pokorne zajęcie należnego sobie miejsca.

Jeszcze jaskrawiej widać różność tych sytuacji, gdy od sfery materialnej przejdzie się do sfery prawnobywatelskiej i moralnej. Od drugiej połowy XIX wieku nie stoją już przed zwykłym człowiekiem żadne bariery społeczne. To znaczy, że również w formach życia publicznego nie napotyka żadnych ograniczeń czy przeszkód. Nic go nie zmusza do utrzymywania swego życia w ryzach. W tej dziedzinie także „wielka i szeroka jest Kastylia”. Nie istnieją „stany” czy „kasty”. Nie ma ludzi prawnie uprzywilejowanych. Każdy człowiek uczy się od małego, że wszyscy są równi wobec prawa.

Nigdy w ciągu dziejów nie znajdował się człowiek w okolicznościach życiowych podobnych choć z grubsza do tych, jakie powyżej opisano. Mamy więc do czynienia z zapoczątkowaną w XIX wieku radykalną zmianą kondycji ludzkiej. Życiu ludzkiemu nadano nowe ramy, nowe zarówno pod względem fizycznym, jak i społecznym. Trzy czynniki sprawiły, iż stworzenie nowego świata stało się możliwe: liberalna demokracja, badania naukowe i industrializacja. Dwa ostatnie można streścić w jednym słowie - technika. Żaden z tych czynników nie był wynalazkiem XIX wieku, wszystkie trzy zrodzone były w dwu poprzednich stuleciach. Zaslugą XIX wieku nie było ich wynalezienie, lecz wdrożenie w życie. Wszyscy to przyznają. Nie wystarczy jednak abstrakcyjne uznanie, trzeba sobie jeszcze zdać sprawę z nieuniknionych następstw tego faktu.

Wiek XIX był w istocie wiekiem rewolucyjnym. Tej rewolucji nie należy jednak szukać na barykadach, które zresztą jej nie czynią. Oto zwyczajni ludzie, olbrzymie masy społeczne znalazły się nagle w warunkach życiowych diametralnie różnych od tych, w których dotychczas żyły. Życie publiczne zostało wywrócone do góry nogami. Rewolucja to nie powstanie przeciwko istniejącemu porządkowi, lecz wprowadzenie nowego porządku będącego odwróceniem starego. Dlatego też nie ma żadnej przesady w powiedzeniu, że z punktu widzenia życia publicznego człowiek zrodzony przez wiek XIX jest kimś zupełnie nowym w stosunku do ludzi wszystkich poprzednich stuleci. Człowiek XVIII wieku różnił się, oczywiście, od tego z XVII, a ten ostatni od tego z wieku XVI, ale wszyscy oni wydają się w istocie rzeczy bardzo do siebie podobni, nieledwie identyczni, jeśli ich porównać z nowym człowiekiem XIX wieku. Dla „pospółstwa” wszystkich epok „życie” to było przede wszystkim ograniczenie, zobowiązanie, zależność, słowem - przygniatający ciężar. Jeśli ktoś woli, można to nazwać uciskiem, jednak pod warunkiem, że słowo to będziemy rozumieć nie tylko w sensie prawnym i społecznym, lecz także kosmicznym. Ten ostatni rodzaj ucisku towarzyszył niezmiennie ludzkości od zarania dziejów do pierwszych lat XIX wieku, kiedy to rozpoczął się praktycznie nieograniczony rozwój nauki i techniki. Przedtem nawet dla człowieka możnego i bogatego świat był pełen biedy, trudności i niebezpieczeństw.<sup>19</sup>

Świat, który od urodzenia otacza nowego człowieka, nie skłania go do jakichkolwiek ograniczeń, nie zakłada żadnego weta ani nie stawia przed nim żadnych barier, a nawet wręcz przeciwnie, rozbudza w nim nowe potrzeby, które, teoretycznie rzecz biorąc, rosnąć mogą w nieskończoność. Dlatego też mamy tu do czynienia z następującym zjawiskiem - i to jest bardzo ważne - otóż świat XIX wieku i początków XX nie tylko zapewnia ludziom dobra i możliwości, do jakich już rzeczywiście doszedł, ale co więcej, utwierdza ich w głębokim przekonaniu, że jutro będą jeszcze bogatsi, jeszcze doskonalsi i żyć będą jeszcze pełniej, jak gdyby była to sprawa jakiegoś żywiołowego, niczym nie skrępowanego wzrostu. Jeszcze dzisiaj, choć pojawiają się już pierwsze oznaki niewiary, bardzo nieliczni żywią jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że za pięć lat samochody będą tańsze i wygodniejsze niż teraz. Przekonanie to jest równie mocne jak pewność, że jutro znowu wszędzie słońce. Podobieństwo to ma charakter formalny, bo w istocie człowiek prosty, stykając z otaczającym go

<sup>19</sup> Nie na wiele zda się bogactwo większe niż innych, jeśli otaczający świat jest ubogi i wobec tego nader ograniczony jest zakres ułatwień i wygód, z których może skorzystać człowiek dzięki swemu bogactwu. Życie przeciętnego człowieka dzisiaj jest łatwiejsze, wygodniejsze i bezpieczniejsze niż życie możnego pana niegdyś. Co z tego, że nie jest bogatszy od innych, kiedy świat w ogóle jest bogatszy i zapewnia mu wygodne drogi, kolej żelazną, telegraf, hotele, bezpieczeństwo osobiste i aspirynę?

światem, który mu się jawi technicznie i społecznie tak doskonały, uważa go za dzieło Natury i nawet do głowy mu nie przyjdzie pomyśleć o heroicznych wysiłkach genialnych jednostek, które umożliwiły doprowadzenie świata do jego obecnej postaci. Jeszcze mniej byłby skłonny uznać, że wszystkie te wygody wymagają w dalszym ciągu pewnych rzadkich ludzki zalet, których brak może w ciągu kilku chwil spowodować zawalenie się całej tej wspaniałej budowli.

W diagram psychologiczny współczesnego człowieka masowego możemy więc wpisać dwie podstawowe cechy: swobodną ekspansję życiowych żądań i potrzeb, szczególnie w odniesieniu do własnej osoby, oraz silnie zakorzeniony brak poczucia wdzięczności dla tych, którzy owo wygodne życie umożliwili. Obie te cechy są charakterystyczne dla psychiki rozpuszczonego dziecka. I rzeczywiście nie będzie pomyłką, jeśli na duszę współczesnych mas spojrzemy przez pryzmat tej psychiki. Nowy plebs, dziedzicząc dorobek długiej i znakomitej przeszłości - znakomitej ze względu na natchnienie i trud - jest przez współczesny świat po prostu rozpuszczony. Rozpuszczać to znaczy nie ograniczać żądań i potrzeb, to znaczy wpajać danemu osobnikowi przekonanie, że wszystko mu wolno i że do niczego nie jest zobowiązany. Dziecko tak wychowywane nie ma okazji doświadczyć granicy własnych możliwości. Chronione przed jakimikolwiek ograniczeniami zewnętrznymi, przed każdym zderzeniem z innym, dochodzi do przekonania, że żyje samo na świecie, przyzwyczajając się zarazem do nieliczenia się z innymi, a zwłaszcza do nieuwzględniania tego, że może być ktoś od niego ważniejszy czy względem niego nadrzędny. Poczucia cudzej nadrzędności można doświadczyć jedynie na własnej skórze, kiedy ktoś silniejszy od nas zmusza do wyrzeczenia się jakiejś potrzeby, do powstrzymania się od czegoś, do ograniczenia własnych żądań. W ten sposób uczymy się podstawowej zasady dyscypliny: „Tu kończę się ja, a zaczyna się ktoś drugi, komu wolno więcej niż mnie. Na tym świecie istnieje najwidoczniej alternatywa: ja i ktoś względem mnie nadrzędny”. W innych epokach życie codzienne uczyło ludzi tej prostej mądrości, bo ówczesny świat był tak nieporadnie zorganizowany, że częste były wszelkiego rodzaju katastrofy i nie było w nim nic pewnego, bezpiecznego czy trwałego. Natomiast współczesne masy ludzkie otacza świat pełen możliwości, a na dodatek pewny i bezpieczny, zastają one wszystko gotowe, będące do ich dyspozycji, ogólnie dostępne, jak słońce i powietrze, nie wymagające jakiegokolwiek uprzedniego wysiłku. Żaden człowiek nie jest wdzięczny drugiemu za powietrze, którym oddycha, ponieważ powietrza nikt nie wyprodukował i należy ono do całości tego, co „jest”, o czym mówimy, że jest „naturalne”, bo nie odczuwamy jego braku. Owe rozpuszczone masy są wystarczająco mało inteligentne, by wierzyć, że cała ta materialna i społeczna organizacja, będąca jak powietrze do ich dyspozycji, jest tego samego pochodzenia, co i ono i chociaż także czasem zawodzi, to jednak wydaje się prawie tak doskonała, jak gdyby była dziełem natury.

Moja teza jest zatem następująca: właśnie doskonałość, z jaką w XIX wieku zorganizowano pewne dziedziny życia, spowodowała to, że korzystające z owych dobrodziejstw masy nie uważają ich już za organizację, lecz za element przyrody. Tak też można wyjaśnić demonstrowany przez masy, absurdalny stan ducha: nie interesuje ich nic poza własnym dobrobytem, a jednocześnie nie mają poczucia więzi z przyczynami tego dobrobytu. Zdobywcy cywilizacji nie odbierają jako cudownych, genialnych konstrukcji, których istnienie należy pieczołowicie podtrzymywać; wierzą więc tylko, że ich rola sprowadza się do wymagania istnienia tych ostatnich, jak gdyby chodziło o przyrodzone prawa. W zamieszkach wywoływanych brakiem żywności masy ludowe domagają się zazwyczaj chleba; i często zdobywają go, niszcząc piekarnie. Może to posłużyć jako symbol stosunku, oczywiście przy zachowaniu należytych proporcji, współczesnych mas do cywilizacji, która je żywi.<sup>20</sup>

## VII

### Życie szlacheckie i życie pospolite albo trud i bezczynność

Jesteśmy więc tym przede wszystkim, do bycia czym zaprasza nas świat, a podstawowe rysy naszej duszy są odcisnięte w niej jak na glinianej tabliczce. Ogólny obraz świata to także ogólny obraz naszego życia. Dlatego

<sup>20</sup> Masa, jaka bądź, plebejska lub „arystokratyczna”, pozostawiona sama sobie ma zawsze skłonność - z chęci do życia - do niszczenia podstaw własnej egzystencji. Uważam, że wspaniałą karykaturą skłonności *propter vitam, vivendi perdere causam* [z przywiązania do życia stracić rację bytu] jest to, co się zdarzyło w Nijar, niewielkiej mieścinie w pobliżu Almerii, kiedy 13 września 1759 roku ogłoszono objęcie tronu przez Karola III. Obwieszczenie odczytano na rynku. „Następnie rozkazano przynieść napitki dla całego zgromadzenia. Wypito sześćdziesiąt siedem kwart wina i cztery beczułki wódki. Te trunki tak rozgrzały ludzi, że dziarsko pokrzykując udali się w stronę publicznych spichlerzy, zagarniając całe złożone w nich zboże oraz 900 realów z kasy. Stamtąd ruszyli w kierunku monopolu tytoniowego, zabierając pieniądze i tytoń, samo robili w sklepach, każąc sobie oddawać, dla większej jeszcze radości, wszystkie napitki i całą żywność, będącą na składzie. Przedstawiciele duchowieństwa byli w tej działalności równie sprawni, namawiając kobiety, by wyrzucały na ulice wszystko, co mają w domu, co z radością czyniły, tak że w domach nie zostało nic, ani chleb, ani pszenica, ani mąka, ani fasola, ani grzanki, ani tłuczki, ani miednice, ani krzesła. W ten sposób całe miasteczko zostało zniszczone”. Dokument z tamtych czasów, będący w posiadaniu Pana Sanchez de Toca, cytowany jest przez Manuela Danvila w *Reinado de Carlos III*, t. II, przypis 2, s. 10. Miasteczko to, przeżywając intensywnie radość z powodu nowego monarchy, zniszczyło samo siebie. Wspaniałe Nijar! Do ciebie należy przeszłość!

też kładę tak wielki nacisk na stwierdzenie, że świat, który zrodził współczesne masy, ma zupełnie nowe, nie znane dotąd oblicze. Podczas gdy w przeszłości dla zwyczajnego człowieka życie było jednym pasmem trudności, niebezpieczeństw, niedostatków, ograniczeń i uzależnienia, to ten nowy świat wydaje się obszarem praktycznie nieograniczonych możliwości, obszarem bezpiecznym, gdzie nikt nie jest uzależniony od nikogo.

Duszę człowieka współczesnego kształtuje to pierwotne i niezmiennie wrażenie, podobnie jak dusze ludzi z dawniejszych epok urabiało wrażenie odwrotne. To podstawowe wrażenie przekształca się w wewnętrzny głos, który szmerząc nieustannie w głębi duszy wpaja nam uparcie i nieustępliwie definicję życia będącą także imperatywem. O ile tkwiące głęboko przekonania tradycyjne powiadały: „żyć to znaczy czuć się ograniczonym, a tym samym czuć się uzależnionym od tego, co nas ogranicza”, o tyle nowy głos wewnętrzny woła: „żyć to nie być ograniczonym przez cokolwiek; to swobodnie puścić wodze swoim chęciom i skłonnościom. Nic, praktycznie biorąc, nie jest niemożliwe, nic nie jest niebezpieczne i nikt nie jest z zasady nadrzędny w stosunku do nikogo”.

To podstawowe doświadczenie zmienia zasadniczo tradycyjną, odwieczną strukturę duchową człowieka masowego, który zawsze czuł się materialnie ograniczony i uzależniony od nadrzędnych względem niego sił społecznych. Takie właśnie w jego pojęciu było życie. Jeśli udawało mu się polepszyć swoją pozycję, jeśli mógł się wdrapać na wyższy szczebel drabiny społecznej, przepisywał to szczęśliwemu zrządzeniu losu. Albo też widział w tym wynik podejmowanych przez siebie ogromnych wysiłków i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, ile go to kosztowało trudu. W obu wypadkach mieliśmy do czynienia z sytuacją wyjątkową w stosunku do normalnego życia, wyjątkową, bo u jej podłoża leżały jakieś szczególne przyczyny.

Natomiast dla nowych mas owa pełna swoboda manewrów życiowych jest czymś stałym i naturalnym, pozbawionym szczególnych przyczyn. Żadna zewnętrzna siła nie zmusza ich do narzucenia sobie jakichś ograniczeń, a tym bardziej do stałego liczenia się z istnieniem innych instancji, szczególnie instancji nadrzędnych. Jeszcze do niedawna chiński kulis był przekonany, że jego powodzenie życiowe zależy od cnót osobistych cesarza. A zatem życie jego było na stałe związane z ową najwyższą instancją, od której było uzależnione. *Natomiast człowiek, którego analizujemy, przyzwyczaił się nie odnosić własnej osoby do żadnej zewnętrznej instancji.* Zadowolony jest z siebie takiego, jakim jest. Skłonny jest zupełnie szczerze - i to nie przez próżność - jako rzecz najbardziej naturalną w świecie przyjmować i brać za dobrą monetę wszystko, co w sobie napotyka: mniemania, pożądania, upodobania i wybory. Dlaczego by nie miał tak robić, skoro - co już stwierdziliśmy - nikt ani nic go nie zmusza do uprzytomnienia sobie, iż jest człowiekiem drugiej kategorii, nader ograniczonym, niezdolnym do stworzenia ani zachowania nawet tej organizacji, która zapewnia jego życiu pełnię i zadowolenie, co z kolei daje mu podstawę do owej afirmacji własnej osoby?

Człowiek masowy nigdy nie odwołuje się do czynników zewnętrznych, o ile nie zostaje do tego gwałtownie zmuszony przez *okoliczności*. Jako że obecne okoliczności do tego go nie zmuszają, odwieczny człowiek masowy, zgodnie ze swoim temperamentem, nie odwołuje się do nikogo, czując się w pełni panem swojego życia. Natomiast człowiek wybrany czy wybitny odczuwa wewnętrzną potrzebę odwoływania się do norm zewnętrznych, od niego samego doskonalszych, którym dobrowolnie może służyć. Przypomnijmy, że człowiek wybitny tym się różni od człowieka pospolitego, że ten pierwszy ma duże wymagania wobec siebie samego, natomiast ten drugi, zachwycony własną osobą, niczego od siebie nie wymaga, będąc zupełnie zadowolony z tego, kim jest.<sup>21</sup> W przeciwieństwie do tego, co się powszechnie sądzi, to właśnie ludzie wybrani, a nie masy, żyją w prawdziwym poddaństwie. Życie nie ma dla nich smaku, jeśli nie polega na służeniu czemuś transcendentnemu. Dlatego też takiej służby nie odbierają jako ucisku. Jeśli tego im braknie, wówczas odczuwają niepokój i wynajdują nowe normy, jeszcze trudniejsze, bardziej wymagające, które ich gnębią. To jest życie rozumiane jako narzucona sobie dyscyplina - życie szlachetne. Szlachectwo określa wymagania i obowiązki, a nie przywileje. *Noblesse oblige.*

*Nach seinem Sinne leben ist gemein,  
Der Edle strebt nach Ordnung und Gesetz.*<sup>22</sup>

Przywileje szlachty nie były wynikiem dobrowolnych ustępstw czy łaski, lecz przeciwnie, były przez nią zdobyte. Utrzymywanie tych przywilejów w zasadzie zakładało, iż jednostka uprzywilejowana zdolna jest w każdej chwili do ich obrony, gdyby zaszła tego potrzeba lub gdyby ktoś podawał w wątpliwość ich zasadność.<sup>23</sup> A zatem prywatne prawa czy *przywileje* nie są biernym posiadaniem i dobrodziejstwem, lecz są wyznacznikiem wysiłków danej osoby. Natomiast prawa powszechna, jak prawa „człowieka i obywatela”, są biernym

<sup>21</sup> Człowiek jest intelektualnie masowy wtedy, gdy postawiony wobec jakiegoś problemu zadowala się tymi myślami, które na ten temat Przyjdą mu akurat do głowy. Człowiekiem wybitnym jest natomiast ten, kto nie zadowala się tym, co mu od razu, bez uprzedniego wysiłku, Przyjdzie do głowy, lecz za godne siebie uznaje jedynie to, co go jeszcze przewyższa, a czego poznanie i zrozumienie wymaga zdwojonego wysiłku.

<sup>22</sup> „Pospolitym jest żyć według własnego upodobania. Człowiek szlachetny dąży do porządku i prawa”. *Goethes Werke*, t. V, Hamburg 1952, s. 504 (3 schemat do dramatu *Córka naturalna*). [Źródła cytatów ustalił, sprawdził ich brzmienie z oryginałem, a także wskazał polskie przekłady Tadeusz Namowicz] (przyp. Maria Dietl).

<sup>23</sup> Patrz *Espana invertebrada*, Madryd 1922, s. 156.

posiadaniem, czystą korzyścią i dobrodziejstwem, szczodrym darem losu, własnością każdego człowieka, która nie łączy się z żadnym wysiłkiem, podobnie jak oddychanie czy unikanie szaleństwa. Tak więc powiedziałbym, że ma się prawa bezosobowe, a prawa osobiste się podtrzymuje i zabezpiecza.

W najwyższym stopniu denerwująca jest degeneracja w języku potocznym słowa tak pełnego natchnienia jak słowo „szlachectwo”. Ponieważ dla wielu jest ono równoznaczne z dziedzicznym „szlachectwem krwi”, zaczęło ono oznaczać coś w rodzaju praw powszechnych, zaczęło oznaczać jakość statyczną i bierną, którą się otrzymuje i przekazuje jak bezwładną i bezwolną rzecz. Ale prawdziwe znaczenie, *etymo*, słowa *szlachectwo* jest w swej istocie dynamiczne. Szlachetny to znaczy „znany”, w tym sensie, że znany wszystkim, sławny, ktoś, kto dał się poznać, wybijając się ponad anonimową masę. Określenie to implikuje istnienie jakiegoś szczególnego wysiłku, który dał powody do sławy. Tak więc słowo szlachetny<sup>24</sup> jest równoznaczne z określeniem w trudzie wypracowany, doskonały. Szlachectwo czy sława syna to już zwyczajne dobrodziejstwo losu. Syn jest znany, ponieważ ojcu udało się zdobyć sławę. Jest znany z odbicia i szlachectwo dziedziczne w istocie ma charakter pośredni, jest blaskiem odbitym, jest szlachectwem księżycowym, które zawdzięcza się zmarłym. Żywe, autentyczne, dynamiczne jest w nim tylko to, co pobudza potomków do utrzymania tego poziomu wysiłków i trudu, jaki udało się osiągnąć przodkom. Zawsze jednak, nawet w tym bledszym znaczeniu, *noblesse oblige*. Szlachectwo pierwotne samo sobie narzuca obowiązki, natomiast szlachectwo dziedziczne ma zobowiązania wobec swego dziedzictwa. W każdym razie istnieje pewna sprzeczność w przekazywaniu szlachectwa następcom. Bardziej logiczni są Chińczycy, którzy odwracają kierunek przekazywania; nie ojciec uszlachca syna, lecz syn, zdobywszy szlachectwo przekazuje je przodkowi, dzięki swoim wysiłkom uszlachcając swych skromnych ojców i dziadów. Dlatego też nadając szlachectwo, wprowadza się jego gradację, w zależności od tego, ile pokoleń wstecz zostało uszlachconych; są tacy, których wysiłki zostały wynagrodzone jedynie uszlachceniem ojca, ale są i inni, którym zawdzięcza szlachectwo Pięć albo dziesięć pokoleń wstecz. Przodkowie żyją z człowieka współczesnego, którego szlachectwo jest rzeczywiste, żyjące; jednym słowem *jest*, a nie *było*.<sup>25</sup>

„Szlachectwo” jako określenie formalne pojawia się dopiero w imperium rzymskim i właśnie jako przeciwieństwo szlachectwa dziedzicznego, którego nastąpił schyłek.

Dla mnie szlachectwo to synonim życia pełnego trudu i wyrzeczeń, zawsze gotowego do doskonalenia się, do przechodzenia od tego, co już jest, do wyższych jeszcze celów i obowiązków. Tak rozumiane życie szlachetne jest jaskrawym przeciwieństwem życia pospolitego, bezwładnego, ograniczającego się statycznie do siebie samego, skazanego na wieczne zaskorupienie w sobie, jako że żadna siła zewnętrzna nie zmusza go do wyjścia poza siebie samo.

Dlatego też ludzi w ten sposób żyjących nazywamy masą nie tyle ze względu na ich liczbę, ile ze względu na to, że życie ich jest bezwładne i bezwolne.

Im dłużej żyjemy, tym wyraźniej widzimy, że większość mężczyzn - i kobiet - jest zdolna do podjęcia jakiegoś wysiłku tylko wtedy, gdy wymaga tego zewnętrzna konieczność. Dlatego też te nieliczne, znane nam jednostki, które umieją zdobyć się na spontaniczność i luksus wysiłku, pozostawiają niezatarte piętno w naszej pamięci, nabierając nieledwie monumentalnych wymiarów. To właśnie są ludzie wybrani, szlachetni, jedyni, którzy umieją być aktywni, a nie tylko reaktywni, dla których życie jest ciągłym napięciem, niustannym treningiem. Trening = *askesis*. To są właśnie asceci<sup>26</sup>.

Proszę się nie dziwić tej pozornej dygresji. By móc zdefiniować współczesnego człowieka masowego, który jest tak samo masowy jak zawsze, ale obecnie pragnie zająć miejsce należne ludziom wybitnym, trzeba go przedstawić na tle dwu czystych form, które się w nim pomieszały: normalnej masy i autentycznego szlachectwa. Teraz będziemy szybciej iść naprzód, bo, moim zdaniem, mamy już w ręku klucz czy też psychologiczne równanie, za pomocą którego możemy określić dominujący dziś typ człowieka. Cała reszta jest konsekwencją i następstwem tej podstawowej struktury, którą można streścić następującymi słowami: świat stworzony przez wiek XIX, wytwarzając automatycznie nowego człowieka, obdarzył go niebywałymi apetytami, a także potężnymi środkami do zaspokajania tych apetytów, i to we wszystkich dziedzinach - ekonomicznej, fizycznej (rozwój higieny, przeciętny poziom zdrowia lepszy niż kiedykolwiek), państwowo-prawnej oraz w technice (mam tu na myśli olbrzymie nagromadzenie wiedzy cząstkowej oraz praktyczną skuteczność, jaka cechuje współczesnego przeciętnego człowieka, a której w dziejach tak mu brakowało). W XIX wieku, uzyskawszy całą tę potęgę, człowiek, zdany już tylko na siebie samego, zgodnie z właściwą mu naturą zaskorupił się w sobie. Dlatego też mamy obecnie do czynienia z masą potężniejszą niż w jakiegokolwiek innej epoce, która jednak w odróżnieniu od mas tradycyjnych jest sama hermetycznie zamknięta, nie troszczy się o nic i o nikogo i, wierząc w swoją samowystarczalność, staje się niesforna i nieokiełznana.<sup>27</sup> Jeśli sprawy potoczą się

<sup>24</sup> Po hiszpańsku *noble*, po łacinie *nobilis*, *nobile* oznacza zarówno „szlachetne urodzony”, jak i „znany”, „ogólnie poważany” (przykład: Maria Dietl).

<sup>25</sup> Chodzi tu o sprowadzenie słowa „szlachectwo” do jego pierwotnego sensu, który wyklucza dziedziczenie. Nie ma tu miejsca na analizowanie faktu, że tylekroć w historii pojawiało się „szlachectwo krwi”. Problem ten pozostawiamy tu nienaruszony.

<sup>26</sup> Patrz *El origen deportivo del Estado*, w: *El Espectador*, t. VII, Madrid 1930.

<sup>27</sup> Na temat niesforności mas, szczególnie hiszpańskich, pisałem już w *Espana invertebrada* i do tego chciałbym się tu odwołać.

tak dalej, to z każdym dniem stanie się bardziej widoczne, że w Europie - a przez odbicie na całym świecie - masy coraz mniej będą zdolne poddać się kierownictwu w jakiegokolwiek dziedzinie życia. Możliwe jest, iż w ciężkich godzinach, które nastaną dla naszego kontynentu, masy zżerane niepokojem wykażą chwilowy przypływ dobrej woli i uznają, przynajmniej w pewnych, najbardziej trudnych sprawach, kierownictwo lepszych mniejszości.

Ale nawet dobra wola niewiele tu pomoże. Podstawową tkankę duszy człowieka masowego stanowi hermetyzm i niesforność, bo od samego urodzenia niezdolny jest do uznawania autorytetu zewnętrznego w postaci osób lub czynów. Chciałby iść za kimś, ale nie potrafi. Chciałby słuchać, ale okazuje się, że jest głuchy.

Z drugiej strony nie należy się ludzić, że przeciętny stojący u władzy człowiek, niezależnie od tego, jak podniósł się jego poziom życiowy w porównaniu z ludźmi innych epok, potrafi sam kierować procesem cywilizacyjnym. Powiadam procesem, a nie postępem. Zwykle utrzymanie cywilizacji na obecnym poziomie jest rzeczą niesłychanie skomplikowaną, wymagającą znajomości działania niezliczonej ilości subtelnych mechanizmów. Źle będzie nimi kierował przeciętny człowiek, który wprawdzie nauczył się używania wielu stworzonych przez cywilizację narzędzi, ale równocześnie odznacza się gruntowną niezajomością zasad leżących u samych podstaw tej cywilizacji.

Raz jeszcze pragnę przypomnieć czytelnikom, którzy cierpliwie czytają te rozważania, by nie nadawali temu, co powyżej napisałem, znaczenia przede wszystkim politycznego. Działalność polityczna, najbardziej skuteczna i najbardziej widoczna odmiana życia publicznego, jest też, z drugiej strony, odmianą ostatnią, wynikającą z innych, bardziej wewnętrznych i nieuchwytnych. Tak więc niesforność polityczna nie byłaby sprawą tak poważną, gdyby nie wynikała z głębszej i bardziej istotnej niesforności intelektualnej i moralnej. A zatem, dopóki nie przeanalizujemy należycie tych ostatnich, nie będziemy w stanie nadać ostatecznej jasności tejom tego eseju.

## VIII

### Dlaczego masy wtrącają się do wszystkiego i dlaczego czynią to tylko w sposób gwałtowny

Mamy więc do czynienia z sytuacją paradoksalną, ale w gruncie rzeczy całkiem naturalną; wystarczyło, że świat i życie stanęły w całej okazałości przed człowiekiem poślednim, by dusza jego zaskorupiła się w sobie. Uważam, iż bunt mas, ten olbrzymi problem stojący dzisiaj przed ludzkością, polega właśnie na owym zamknięciu się duszy przeciętnego człowieka.

Wiem dobrze, że wielu moich czytelników myśli inaczej niż ja. To także jest rzeczą zupełnie naturalną i tylko potwierdza moją teorię. Gdyby nawet moje twierdzenia okazały się fałszywe, to zawsze jeszcze prawdą będzie to, że wielu z tych czytelników, którzy się ze mną nie zgadzają, nie poświęciło nigdy nawet pięciu minut na przemyślenie całej tej skomplikowanej problematyki. Jakże więc mieliby myśleć tak samo jak ja? Człowiek, który przypisuje sobie prawo posiadania własnego zdania na jakiś temat, nie zadając sobie uprzednio trudu, by go przemyśleć, jest doskonałym przykładem owego niezmiennego i absurdałnego sposobu bycia człowiekiem, który nazwałem „zbuntowaną masą”. To właśnie znaczy mieć duszę hermetycznie zamkniętą. W tym wypadku chodzi o hermetyczność intelektualną. Dany osobnik poruszając się wśród pewnego zbioru idei, który w sobie nosi, zadowala się nimi, uznając się zarazem za intelektualnie dojrzałego i pełnego. Nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się dzieje wokół niego, rozsiada się wygodnie i na stałe wśród swoich własnych idei. Oto właśnie mechanizm zamknięcia się w sobie.

Człowiek masowy uważa się za uosobienie doskonałości. Człowiek wybitny musi być bardzo próżny, by czuć się doskonałym, a jego wiara we własną doskonałość nie jest czymś wrodzonym, czymś pozostającym w organicznym związku z jego osobowością, lecz wynika z jego próżności i nawet dla niego samego ma charakter fikcyjny i problematyczny. Dlatego też człowiek próżny potrzebuje innych, u których szuka potwierdzenia opinii, jaką chciałby mieć o sobie samym. Na szczęście człowiek szlachetny, nawet wtedy, kiedy „zaślepia” go próżność, nie czuje się nigdy prawdziwie doskonały i pełny. Inaczej ma się rzecz z przeciętnym człowiekiem naszych czasów, z nowym Adamem - jemu nie przyjdzie nawet do głowy powątpiewać o własnej doskonałości. Jego wiara w siebie samego jest iście rajska, tak samo jak wiara Adamowa. Wrodzona hermetyczność duszy wyklucza zaistnienie warunku koniecznego do odkrycia własnej niedoskonałości, jakim jest porównanie siebie z innymi. Porównać się z bliźnim to znaczy wyjść na chwilę z siebie samego i przenieść się do duszy kogoś innego. Ale dusza przeciętna niezdolna jest do transmigracji, najszlachetniejszej formy sportu.

Mamy tu więc do czynienia z taką samą odwieczną różnicą jak ta, która dzieli ludzi na głupich i mądrych. Człowieka mądrego ciągle gnębi obawa o to, by nie zgłupieć, i dlatego podejmuje wysiłki, by umknąć owej

nieustannie grożącej głupocie, i na tym właśnie polega inteligencja. Natomiast głupiec nie żywi względem siebie żadnych obaw, czuje się najmądrzejszy na świecie i stąd też bierze się ów godny pozazdroszczenia spokój, z jakim dureń rozsiada się wygodnie w swojej własnej głupocie. Durnia nie sposób wyrwać z objęć własnej głupoty, tak samo jak pewnych owadów nie da się wydobyć z otworu, w którym żyją, nie sposób otworzyć mu chociaż na chwilę oczu i zmusić do porównania własnej skrzywionej wizji świata z bardziej subtelnymi i ostrymi sposobami widzenia otaczającej go rzeczywistości. Głupiec jest niezniszczalny i nieprzenikniony. Dlatego też Anatol France zwykł był mawiać, że człowiek głupi jest znacznie bardziej szkodliwy niż człowiek zły, a to dlatego, że ten drugi czasami odpoczywa, podczas gdy głupiec nigdy.<sup>28</sup>

Nie chodzi o to, że człowiek masowy jest głupi. Wręcz przeciwnie, dzisiaj jest bystrzejszy i ma większe zdolności intelektualne niż jego poprzednicy w jakiegokolwiek innej epoce. Ale zdolności te do niczego mu nie służą; co więcej, niejasne poczucie, że je posiada, prowadzi jedynie do tego, że jeszcze szczelniej zamyka się w sobie, zupełnie ich nie wykorzystując. Raz na zawsze uznaje za święty zbiór komunałów, szczątków idei, przesądów czy po prostu pustych słów, które za sprawą przypadku nagromadził w swoim wnętrzu, by potem ze śmiałością, którą wytłumaczyć można tylko naiwnym prostactwem, narzucać je innym. To właśnie uznałem, w pierwszym rozdziale tego eseju, za cechę charakterystyczną dla naszych czasów: nie to, że człowiek pospolity wierzy, iż jest jednostką nieprzeciętną, a nie pospolitą, lecz to, że żąda praw dla społeczności czy wręcz domaga się tego, pospolitość stała się prawem.

Panowanie pospolitości intelektualnej w dzisiejszym życiu publicznym jest być może najnowszym i najbardziej kontrastującym z przeszłością elementem obecnej sytuacji. W każdym razie nigdy przedtem w historii Europy pospółstwo nie pretendowało do tego, by mieć własne „idee” na temat różnych spraw. Miało swoje przeświadczenia, swoje tradycje, doświadczenia, przysłowia, nawyki myślowe, ale nie rościło sobie pretensji do teoretycznych poglądów na to, czym rzeczy są lub być powinny - na przykład na politykę czy literaturę. Wydawało im się dobre lub złe to, co polityk czynił lub planował czynić; odpowiednio do tego albo go popierali, albo nie, ale ich postawa sprowadzała się zawsze do pozytywnej bądź negatywnej reakcji na twórczą działalność innych. Człowiekowi pospolitemu nie przychodziło nigdy do głowy przeciwstawienie „ideom” polityka jakichś innych, własnych; ani nawet osądzanie „idei” polityka przed trybunałem ewentualnych własnych „idei”. To samo odnosi się do sztuki i innych dziedzin życia publicznego. Wrodzona świadomość własnego ograniczenia i braku kwalifikacji do teoretyzowania<sup>29</sup> stanowiła dla niego barierę nie do przebycia. Automatycznym następstwem tego stanu rzeczy było to, że pospółstwo nie myślało nawet o choćby najmniejszym wpływaniu na decyzje głównie o teoretycznym charakterze, dotyczące większości dziedzin życia publicznego. Natomiast dzisiaj przeciętny człowiek ma bardziej taksujące „idee” na temat tego, co się we wszechświecie dzieje i co się dzieć powinno. Dlatego też zatracił umiejętność słuchania. Po co słuchać innych, skoro wszystko, czego potrzeba, ma się już we własnym wnętrzu? Teraz już nie czas na słuchanie, a wręcz przeciwnie, na sądzenie, wyrokowanie, rozstrzyganie. Nie ma obecnie mowy o życiu publicznym, na które nie miałyby wpływu pospółstwo, jakkolwiek byłoby ślepe i głuche, narzucające wszystkim swoje „poglądy”.

Ale czyż jest to zaleta? Czyż nie znamionuje postępu fakt, że masy mają obecnie „idee”, to znaczy, że są kulturalne? W żadnym razie. Owe „idee” człowieka przeciętnego nie są ideami autentycznymi, ani ich posiadanie nie stanowi o kulturze. Idea szachuje prawdą. Kto chce mieć jakieś idee, musi najpierw łaknąć prawdy i przyjąć reguły gry, jakie to za sobą pociąga. Nie ma sensu mówić o ideach czy poglądach, jeśli się nie uzna instancji, która by je regulowała, szeregu norm, do których można by się odwoływać w dyskusji. Istnienie norm to podstawa kultury. Nieważne, jakie one są. Chodzi mi o to, że nie ma kultury, gdzie nie ma norm, do których mogliby się odwoływać nasi bliźni. Nie ma kultury, gdzie nie ma zasad praworządności, do których można by się odwołać. Nie ma kultury, gdzie nie ma szacunku dla pewnych ostatecznych stanowisk intelektualnych, do których mogłyby się odnieść strony w dyskusji.<sup>30</sup> Nie ma kultury, gdzie stosunkami ekonomicznymi nie kierują jakieś ustalone zasady. Nie ma kultury, gdzie w polemikach estetycznych nie uznaje się potrzeby uzasadniania dzieł sztuki.

Kiedy nie ma tego wszystkiego, to nie ma kultury; mamy wtedy do czynienia z barbarzyństwem w dokładnym tego słowa znaczeniu. I to właśnie - nie miejmy złudzeń - zaczyna się w Europie ogarniętej postępującym buntem mas. Podróżnik, który przybywa do barbarzyńskiego kraju, wie, że na jego terytorium nie rządzą żadne zasady, do których można by się odwołać. Nie istnieją normy barbarzyńskie. Barbarzyństwo to brak wszelkich norm i możliwej apelacji.

Wyższy lub niższy stopień kultury mierzy się większą lub mniejszą ścisłością norm. Tam, gdzie jest ona niewielka, normy kierują życiem jedynie *grosso modo*; tam, gdzie jest znaczna, przenikają do najdrobniejszych szczegółów, kierują wszelkiego typu działalnością. Słabość hiszpańskiej kultury intelektualnej, czyli

<sup>28</sup> Często zadawałem sobie następujące pytanie: nie ulega wątpliwości, że dla wielu lud/i zawsze jedną z najprzykrzejszych udręk życiowych były kontakty czy wręcz zderzenia z głupotą bliźnich. A zatem jak to jest możliwe, że nigdy nie pokuszono się - o ile mi wiadomo - o jakieś studium na ten temat, o napisanie *eseju o głupocie*?

<sup>29</sup> Nie chodzi tu o żonglerkę słowną: każde formułowanie poglądu je teoretyzowaniem.

<sup>30</sup> Jeśli ktoś w dyskusji z nami nie jest zainteresowany w dostosowaniu się do prawdy, jeśli nie chce być prawdziwym, to jest intelektualnym barbarzyńcą. W istocie rzeczy taką właśnie postawę przyjmuje człowiek masowy, kiedy mówi, wyklada czy pisze.

kulturalnego lub zdyscyplinowanego posługiwania się intelektem, nie objawia się w tym, że wie się u nas więcej lub mniej, lecz w zwyczajowym już braku gotowości do poddania się prawdzie, często demonstrowanym przez tych, którzy mówią i piszą. A zatem rzecz nie w tym, by do prawdy dotrzeć lub nie - nie w naszych to jest rękach - lecz w braku skrupułów, który pozwala nie spełniać podstawowych warunków potrzebnych do dotarcia. Zachowujemy się wciąż jak ów nieśmiertelny wiejski księżulo, który zwycięsko odpiera ataki manichejczyków, nie zadając sobie uprzednio trudu, by choćby zainteresować się, na czym polega ich doktryna.

Każdy bez trudu zauważy, że od jakiegoś czasu zaczęły się w Europie dziać „rzeczy dziwne”. Jako konkretny przykład tych dziwnych zjawisk wymienię tu dwa ruchy polityczne: syndykalizm i faszyzm. Nie dlatego wydają się dziwne, że są nowe. Entuzjazm dla nowości jest do tego stopnia zakorzeniony w duszach Europejczyków, że to ich właśnie dziełem była najbardziej niespokojna historia ze wszystkich znanych w dziejach świata. Dziwność tych ruchów nie wynika zatem z tego, że są nowe, lecz z tego, że nowości te mają zaskakujący charakter. Pod postacią syndykalisty czy faszysty po raz pierwszy w Europie pojawia się typ człowieka, który *nie chce drugiemu przyznać racji ani nie pragnie sam mieć racji*, lecz po prostu jest zdecydowany narzucić swoje poglądy innym. I to właśnie jest owa nowość: prawo do tego, by nie mieć racji, podstawa do bezpodstawności. Widzę w tym najbardziej wyczuwalny objaw nowego stylu bycia mas, które duchowe są kierowane społeczeństwem, nie mając po temu ani zdolności, ani kwalifikacji. Struktura duchowa nowego człowieka objawia się w sposób najbardziej widoczny i brutalny w jego działalności politycznej, ale kluczem do całej sprawy jest hermetyczność intelektualna. Człowiek przeciętny ma w swojej duszy zestaw gotowych „myśli”, brak mu jednak umiejętności myślenia. Nie ma nawet pojęcia o owym subtelnym żywiole, z którego idee czerpią swe soki żywotne. Chce wydawać sądy, ale nie chce uznawać warunków i założeń koniecznych do ich wydawania. Stąd też, praktycznie rzecz biorąc, jego „idee” są niczym innym, jak pragnieniami ujętymi w słowa niczym w muzycznych romansach.

Mieć jakąś ideę to wierzyć, iż posiada ona swe racje, a innymi słowy, wierzyć, iż istnieje jakiś rozum, jakiś świat zrozumiałych prawd. Myśleć, sądzić to tyle, co odwoływać się do owej instancji, uznawać jej nadrzędność, przyjmować jej kodeks i jej wyroki, czyli wierzyć, że wyższą formą współżycia jest dialog między racjami naszych idei. Ale człowiek masowy, podejmując dyskusję, czuje się od razu zagubiony i instynktownie odrzuca konieczność szanowania owej najwyższej instancji będącej poza nim. Dlatego „nowe” w Europie to hasło „koniec z dyskusjami” i niechęć do wszelkich form współżycia, które same przez się powodują poszanowanie norm obiektywnych we wszystkich dziedzinach życia, począwszy od prywatnej rozmowy, przez naukę, aż do parlamentu. Oznacza to odrzucenie współżycia w kulturze, czyli współżycia w ramach jakichś norm i powrót do współżycia barbarzyńskiego. Przechodzi się do porządku dziennego nad normalną procedurą postępowania, dążąc bezpośrednio do narzucenia innym swojego widzimisię i swoich życzeń. Hermetyczność duszy, która - jak już o tym była mowa - skłania masę do interweniowania w każdej dziedzinie życia publicznego, prowadzi nieuchronnie do tego, że jej jedyną procedurą postępowania staje się bezpośrednia akcja.

W dniu, kiedy odtwarzać będziemy genezę naszych czasów, stwierdzimy, że pierwsze tony tej dziwnej melodii rozbrzmiewały już w grupach syndykalistów i francuskich realistów, którzy około roku 1900 odkryli nowy sposób działania nazwany „bezpośrednią akcją”. Człowiek zawsze odwoływał się do gwałtu; czasami były to po prostu czyny kryminalne, ale te nas tutaj nie interesują. W innych natomiast wypadkach do przemocy uciekali się ludzie, którzy, działając w obronie rozumu lub sprawiedliwości, w którą wierzyli, wyczerpali już wszelkie inne możliwe środki. Rzeczą pożałowania godną jest to, że kondycja ludzka zmusza nas co jakiś czas do uciekania się do tego rodzaju gwałtów, trudno jednak zaprzeczyć, iż jest to wyraz najwyższego hołdu dla rozumu i sprawiedliwości. Bo przecież tego typu przemoc nie jest niczym innym jak powstaniem rozumu przeciwko sobie samemu. Siła staje się faktycznie *ultima ratio*. Dostatecznie głupio zwykło się ujmować to powiedzenie jako ironiczne, choć oddaje ono dobrze myśl o pierwotnym podporządkowaniu siły normom racjonalnym. Cywilizacja jest niczym innym jak próbą sprowadzenia siły do *ultima ratio*. Obecnie widać to aż za dobrze, bo „bezpośrednia akcja” jest odwróceniem porządku i proklamacją gwałtu jako *prima ratio*, a dokładniej rzecz biorąc, jako jedynej racji. Ta właśnie norma sugeruje odrzucenie wszelkich norm i przekreślenie wszelkiego typu działań pośrednich pomiędzy wytknięciem sobie celu i jego osiągnięciem. To *Magna Charta* barbarzyństwa.

Należy tu przypomnieć, że kiedy masy wkraczają w życie publiczne, to niezależnie od motywów, jakie nimi powodują, czynią to zawsze w formie „bezpośredniej akcji”. A więc był to zawsze właściwy masom sposób działania. Pojawienie się oficjalnie pojęcia „bezpośredniej akcji” jako uznanej normy właśnie teraz, kiedy decydujący wpływ mas na życie publiczne przestał być czymś przypadkowym i sporadycznym, wyraźnie potwierdza tezę przewodnią tego eseju.

Całość współżycia ludzkiego dostała się pod panowanie nowego systemu odrzucającego wszelkie instancje pośrednie. W stosunkach międzyludzkich odrzucone zostało „dobre wychowanie”. Literatura przyjmująca postać „bezpośredniej akcji” to obelga. W stosunkach seksualnych zniesione zostają stopnie pośrednie.

Stopnie pośrednie, kurtuazja, obyczaje, sprawiedliwość, rozum! Skąd się to wszystko wzięło, po co stworzono tyle komplikacji? Można to streścić w jednym słowie: „cywilizacja”, które wywodzi się od idei *civis*,

od pojęcia obywatela. Chodzi o to wszystko, co umożliwia istnienie miasta, wspólnoty czy w ogóle jakiegokolwiek współżycia między ludźmi. Dlatego też jeśli na wszystkie te elementy cywilizacji spojrzemy od środka, to stwierdzimy, iż mają one ten sam rdzeń. U podłoża ich wszystkich leży rdzenne i coraz to silniejsze dążenie do tego, by każdy człowiek liczył się z innymi. Cywilizacja jest zatem przede wszystkim wolą współżycia. Im mniej się ktoś liczy z innymi, tym mniej jest cywilizowany i tym bardziej barbarzyński. Barbarzyństwo jest tendencją do rozdzielania się. Dlatego też wszystkie epoki barbarzyństwa były okresami rozpraszania się ludzkości na wiele malutkich, oddzielnych i wzajemnie sobie wrogich grup.

W polityce formą, która reprezentuje najwyższy poziom woli współżycia, jest demokracja liberalna. Doprowadza ona do krańcowości postulat liczenia się z bliźnimi, stając się modelowym przykładem „akcji pośredniej”. Liberalizm to zasada prawa politycznego, według którego władza publiczna, mimo swej potęgi, sama sobie narzuca ograniczenia, tak aby nawet kosztem tej władzy zostawić w rządonym przez siebie państwie miejsce do życia dla wszystkich tych, którzy nie myślą ani nie czują tak jak ona, czyli tak jak silniejsi, jak większość. Liberalizm - należy to dziś przypomnieć - jest najwyższą formą wspaniałomyślności, jest prawem, które większość nadaje mniejszościom i jako takie jest najszlachetniejszym wołaniem, jakie rozległo się na ziemi od zarania jej dziejów. Proklamuje wolę współżycia z wrogiem, a co więcej, z wrogiem słabszym od siebie. Jest rzeczą wprost nieprawdopodobną, by rodzaj ludzki był w stanie dojść do czegoś tak pięknego, tak paradoksalnego, tak eleganckiego, tak akrobatycznego i zarazem tak nienaturalnego. Dlatego też nie powinno nas specjalnie dziwić, że nagle ten sam rodzaj ludzki wydaje się zdecydowany wszystko to odrzucić. Za trudne to zadanie i zbyt skomplikowane, by mogło na ziemi przyjąć się na trwałe.

Współżyć z wrogiem! Rządzić, dopuszczając do głosu opozycję! Czyż taka słabość nie wydaje się już czymś zupełnie niezrozumiałym? Coraz mniejsza liczba państw, w których dopuszcza się istnienie opozycji, jest najcięższym oskarżeniem, jakie można rzucić obecnej rzeczywistości. W prawie wszystkich współczesnych państwach jednorodna masa ciśnie na władzę publiczną, miażdżąc i zmiatając z powierzchni ziemi wszystkie grupy opozycyjne. Masa - któż by to pomyślał, mając przed oczami ów ciasno zbity tłum? - nie pragnie współżycia z nikim, kto do niej nie należy. Masa śmiertelnie nienawidzi wszystkiego, co nie jest nią samą.

## IX Prymitywizm i technika

Chciałbym zatem jeszcze raz mocno podkreślić, że jesteśmy obecnie pogrążeni w rozważaniach na temat określonej sytuacji, czyli sytuacji obecnej, która jest w sposób istotny dwuznaczna. Wspominałem już na początku o tym, że wszystkie elementy współczesnej sytuacji, a w szczególności bunt mas, mają dwa oblicza. Każde z nich nie tylko dopuszcza, ale wręcz domaga się dwoistej interpretacji: pozytywnej i negatywnej. Dwuznaczność ta nie leży w naszych poglądach, lecz w samej rzeczywistości. Nie chodzi o to, że współczesna sytuacja może nam się wydawać z jednej strony dobra, a z drugiej zła, lecz o to, że sama w sobie zawiera potencjalnie dwie możliwości: triumfu i śmierci.

Nie chciałbym obciążać tego eseju zbędnym balastem metafizyki dziejów, ale jest przecież rzeczą oczywistą, że w tym, co piszę, opieram się na fundamencie swoich przekonań filozoficznych, które wyłożyłem lub o których napomykałem w innych pracach. Nie wierzę w bezwzględne zdeterminowanie dziejów. Wręcz przeciwnie, uważam, że wszelkie życie, a zatem również życie historyczne, składa się z odrębnych momentów stosunkowo słabo od siebie wzajemnie uzależnionych, w każdym z nich rzeczywistość waha się, drepcze w miejscu, nie wiedząc właściwie, na co się zdecydować, jaką obrać drogę spośród wielu otwierających się możliwości. Metafizyczne wahanie i niepewność nadaje życiu ową niepowtarzalną wibrację i drżenie.

A więc, bunt mas *może* być etapem przejściowym do nowej, z niczym nie porównywalnej organizacji ludzkości, ale *może* także okazać się dla ludzkości katastrofą. Nie ma powodów po temu, by przeczyć rzeczywistości postępu, ale konieczne jest także skorygowanie wiary w to, iż postęp jest czymś pewnym i oczywistym. Będziemy w lepszej zgodzie z faktami, jeśli uznamy, że nie ma żadnego pewnego postępu, żadnej ewolucji, którym by nie groziła „inwolucja” i cofnięcie. Wszystko, dosłownie wszystko jest w dziejach możliwe, zarówno zwycięski, niczym nie ograniczony postęp, jak i okresowa regresja. A dzieje się tak dlatego, że życie, zarówno indywidualne, jak i zbiorowe, osobiste, jak i historyczne, jest jedynym elementem wszechświata, którego istotą jest zagrożenie. Składa się ono z samych niebezpieczeństw. Dokładnie rzecz biorąc jest ono dramatem.<sup>31</sup>

<sup>31</sup> Nie muszę chyba dodawać, że nikt prawie nie bierze poważnie tych stwierdzeń, a nawet ci, którzy mają po temu jak najlepsze intencje, rozumieją je jako zwykłe, poniekąd wzruszające, metafory. Jedynie czytelnik dość prostoduszny i szczerzy, który nie jest bynajmniej przekonany o tym, iż wie doskonale, czym jest życie albo przynajmniej czym ono nie jest, zdolny jest pojąć pierwotne znaczenie tych określeń i to właśnie on je *rozumie*, niezależnie od tego, czy są one prawdziwe czy fałszywe. Wśród wszystkich pozostałych panuje



To, co jest prawdą w ogóle, nabiera jeszcze większej intensywności w „momentach krytycznych”, jak ten, w którym się obecnie znajdujemy. A zatem objawy nowego sposobu zachowania, jakie obserwujemy w obecnym, opanowanym przez masy świecie, o wspólnym mianowniku „bezpośredniej akcji”, mogą również zwiastować przyszłą doskonałość. Jest rzeczą oczywistą, że każda stara kultura, rozwijając się, wlecze za sobą starą tkankę i niemały ciężar skostniałych substancji szkodliwych dla życia, a nawet trujących. Istnieją instytucje martwe, wartości już przeżyte i pozbawione znaczenia, rozwiązania niepotrzebnie skomplikowane, normy, które stały się nieistotne. Wszystkie te elementy akcji *pośredniej*, czy cywilizacji przejść muszą przez okres gorączkowego uproszczenia. Romantyczne fraki i gorsy aż proszą się o zemstę obecnych rozchelatanych i nonszalanckich „podwiniętych rękawów”. W tym wypadku uproszczenie oznacza higienę i lepszy gust, a zatem jest rozwiązaniem doskonalszym, jak to zawsze bywa, kiedy udaje się osiągnąć więcej przy mniejszej liczbie środków. Romantyczne drzewo miłości też wymagało ogrodniczych zabiegów, by mogły zeń odpaść doczepione do gałęzi sztuczne magnolie, a także skłębione i powykręcane pnącza i konary uniemożliwiające swobodne rozkoszowanie się słońcem.

W ogóle życie publiczne, a w szczególności polityka, wymagały pilnego nawrotu do autentyzmu; Europa nie byłaby w stanie dokonać prężnego skoku naprzód, jakiego od niej oczekiwali optymiści, gdyby nie zrzuciła z siebie krępujących ją szat, gdyby nie ograniczyła się do tego, co najistotniejsze, gdyby nie wróciła do siebie samej. Entuzjazm, jaki żywie dla nagości i autentyczności, świadomość, że jest to rzecz nieuchronna, jeśli mamy przygotować nadejście godnej szacunku przyszłości, skłania mnie do żądania pełnej wolności w mówieniu i myśleniu o przeszłości. To przyszłość powinna panować nad przeszłością i ona to określa nasze zachowanie i stosunek do tego, co było.<sup>32</sup>

Rzecz jednak w tym, by nie popełnić głównego grzechu wszystkich rządzących wiekiem XIX: braku poczucia własnej odpowiedzialności, która powodowała uśpienie czujności i zanik gotowości działania. Wybór drogi najmniejszego oporu, jaką stwarza rozwój wypadków, lekceważących niebezpieczeństwa i zwiastujące je znaki nawet w okresach najbardziej pomyślnych, to właśnie brak odpowiedzialności. Dzisiaj należy w tych, którzy są do tego zdolni, rozwijać poczucie szczególnej odpowiedzialności i rzeczą najpilniejszą wydaje się ciągle podkreślanie groźby, jaką kryją w sobie pewne objawy występujące obecnie w naszym życiu.

Nie ulega kwestii, że w ocenie bilansu naszego życia publicznego czynniki szkodliwe mają znaczną przewagę nad czynnikami korzystnymi, zwłaszcza gdy w naszych rozważaniach weźmiemy pod uwagę nie tyle chwilę obecną, ile to, co one zwiastują na przyszłość.

Cały przyrost konkretnych możliwości, jakich zaznało życie, może w pewnym momencie zostać sam przez siebie unicestwiony w zderzeniu z najstraszniejszym problemem europejskiego przeznaczenia, jakim jest -jeszcze raz powtarzam - to, że przewodnictwo społeczne dostało się obecnie w ręce ludzi, których nie interesują zasady cywilizacji. Nie chodzi o to, że nie interesują ich zasady tej czy innej cywilizacji; z tego, co można sądzić w chwili obecnej, nie obchodzą ich zasady żadnej cywilizacji. Zajmują ich, oczywiście, środki uspokajające, samochody i kilka jeszcze rzeczy. To tylko potwierdza zasadniczy brak zainteresowania kulturą. Rzeczy te są jedynie jej wytworami i zapał, z jakim się do nich podchodzi, jeszcze ostrzej uwypukla brak wrażliwości na zasady, które im samym dały początek. Wystarczy tu zwrócić uwagę na jeden fakt: od kiedy istnieją *nuove scienze*, nauki fizyczne - a więc od czasów odrodzenia - zapał do nich ciągle wzrasta. Dokładniej rzecz biorąc: z pokolenia na pokolenie proporcjonalnie coraz większa była liczba osób zajmujących się tymi czysto teoretycznymi badaniami. Po raz pierwszy do zastoju w tej dziedzinie - powtarzam, proporcjonalnie rzecz biorąc - doszło w obecnym pokoleniu ludzi między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Coraz trudniej znaleźć dziś nowych kandydatów do pracy w laboratorii nauk ścisłych, a dzieje się tak właśnie w okresie szczytowego rozwoju przemysłu, kiedy ludzie przejawiają coraz większe zapotrzebowanie na narzędzia i leki tworzone przez naukę i technikę.

Gdybyśmy mieli czas i miejsce, to można by wyliczyć podobne przykłady niespójności w polityce, sztuce, moralności, religii i w innych sferach życia codziennego.

Co oznacza ta paradoksalna sytuacja? Zamierzeniem mego eseju jest właśnie sformułowanie odpowiedzi na to pytanie. A więc oznacza to, że dominujący obecnie typ człowieka to prymityw, to *Naturmensch*, który pojawił się pośród cywilizowanego świata. Świat jest cywilizowany, lecz nie są cywilizowani jego mieszkańcy: nie zdają sobie nawet sprawy z istnienia cywilizacji, po Prostu używają jej tak, jak gdyby to była przyroda.

---

ostentacyjna jednomyślność, z jedną tylko różnicą: jedni uważają, iż *mówiąc poważnie, życie jest* egzystencjalnym procesem zachodzącym w ludzkiej duszy, a drudzy są zdania, że jest ono ciągiem następujących po sobie reakcji chemicznych. Wątpię, czy polepszy to moją sytuację w oczach tych hermetycznie zamkniętych w sobie czytelników, jeśli cały swój sposób myślenia streszczę powiadając, że *pierwotne i podstawowe* znaczenie wyrazu „życie” pojawia się wtedy, kiedy się go używa w biografii, a nie w biologii. Dzieje się tak z tej prostej przyczyny, że każda biologia jest w ostatecznym rachunku jedynie rozdziałem określonych biografii, jest tym, czym zajmują się w swoim życiu (dającym się ująć w biografii) biologowie. Cała reszta to abstrakcja, fantazja i mity.

<sup>32</sup> Owa lekkość w stosunku do przeszłości nie jest więc spowodowana rozdrażnieniem rebelii, lecz wręcz przeciwnie, zupełnie oczywistym obowiązkiem każdej „epoki krytycznej”. Jeśli bronię dziewiętnastowiecznego liberalizmu przed masami, które go w sposób niecywilizowany atakują, to wcale nie znaczy, że wyrzekam się pełnej swobody w traktowaniu tegoż liberalizmu. Na odwrót: prymitywizm, który w tym eseju ukazuje swe najbardziej odpychające oblicze, jest z drugiej strony i w pewnym sensie nieodzownym warunkiem każdego większego, historycznego kroku naprzód. Patrz, co kilka lat temu napisałem na ten temat w eseju *Biologia y Pedagogia*, w: *El Espectador*, t. III, Madrid 1921, r. „La paradoja del salvajismo”.

Nowy człowiek pożąda samochodu i cieszy się nim, wierząc, iż jest to zwykły owoc jakiegoś rajskiego drzewa. Nie dociera do niego sztuczny charakter cywilizacji, a jego zapal do narzędzi nie obejmuje już zasad, dzięki którym możliwe było ich powstanie. Kiedy wcześniej parafrazowałem słowa Rathenaua mówiąc, że jesteśmy obecnie świadkami „wertikalnej inwazji barbarzyńców”, można było uznać - jak to się często robi - iż jest to po prostu „zgrabne powiedzonko”. Teraz widzimy, że stwierdzenie to może być prawdą lub fałszem, ale że jest przeciwieństwem „zgrabnego powiedzonka”, że jest to formalna definicja zawierająca w sobie wyniki całej skomplikowanej analizy. Współczesny człowiek masowy jest faktycznie prymitywem, który bocznymi drzwiami wślizgnął się na starą i szacowną scenę cywilizacji.

Mówi się dzisiaj wiele o wprost niebывалych postępach techniki, ale nie zauważyłem, by nawet ludzie najinteligentniejsi mieli świadomość dosyć dramatycznie wyglądającej przyszłości. Nawet Spengler, tak subtelny i głęboki - chociaż zarazem wielki dziwak - w tym wypadku wydaje mi się zbyt optymistą. Twierdził, iż po epoce „kultury” nastąpi epoka „cywilizacji”, mając na myśli przede wszystkim technikę. Spenglerowska idea „kultury”, a dziejów w ogólności, jest tak odległa od tej, jaką wyłożyłem w tym eseju, iż trudno tu nawet w dużym uproszczeniu komentować wnioski, do jakich doszedł. Dokonując pewnego przeskoku i pomijając szczegóły, by móc sprowadzić do wspólnego mianownika nasze punkty widzenia, tak z grubsza można by przedstawić nasze rozbieżności: Spengler uważa, że technika może istnieć dalej, nawet wówczas, gdy zaniknie jakiegokolwiek zainteresowanie dla zasad leżących u podstaw kultury. Ja w to nie wierzę. Technika to w istocie rzeczy nauka, a nauka nie może istnieć, kiedy zabraknie zainteresowania nią samą. Stanie się tak, jeśli ludzie przestaną okazywać zapal do ogólnych zasad kultury. Kiedy zainteresowanie tymi sprawami zupełnie zaniknie - co zdaje się właśnie mieć miejsce - technika będzie w stanie przetrwać jeszcze jakiś czas, tak długo, jak długo trwać będzie rozpęd nadany jej przez kulturę, która ją stworzyła. Żyje się z techniką, ale nie z techniki. Ona sama ani nie oddycha, ani się nie potrafi wyżywić, nie jest *causa sui*, lecz praktycznym rezultatem wydawałoby się nikomu niepotrzebnych, teoretycznych rozważań.<sup>33</sup>

Twierdę więc, że obecne zainteresowanie techniką nie gwarantuje niczego, a już najmniej jej postępu czy choćby przetrwania. Słusznie uważa się technicyzm za jedną z cech charakterystycznych „nowoczesnej kultury”, to znaczy kultury, w skład której wchodzi ten rodzaj nauki, który rodzi korzyści materialne. Dlatego chcąc krótko scharakteryzować współczesne aspekty życia, które przekazał nam wiek XIX, wystarczy wymienić dwa elementy: demokrację liberalną i technikę.<sup>34</sup> Ale zdumiewa mnie lekkość, z jaką mówiąc o technice zapomina się o tym, że soki żywotne czerpie ona z nauk teoretycznych i że warunkiem jej postępu jest istnienie możliwości rozwoju tych właśnie nauk. Czy myślano kiedy o tym wszystkim, co w dalszym ciągu musi tkwić w umysłach ludzkich, by dalej mogli się pojawiać prawdziwi „ludzie nauki”? Czy naprawdę poważne jest przekonanie o tym, że jak długo istnieć będą dolary, tak długo trwać będzie nauka? Idea ta, w której wielu ludzi znajduje uspokojenie, jest niczym innym, jak tylko jeszcze jednym dowodem prymitywizmu.

Nie chodzi tu o największą nawet liczbę najróżniejszych składników, które wystarczy zlać do jednego naczynia i dobrze wstrząsnąć, by uzyskać koktajl nauk fizykochemicznych! Nie potrzeba szczególnie zagłębiać się w temacie, by stwierdzić oczywisty fakt, że nauki fizyko-chemiczne w całej rozciągłości wieków i na całym obszarze kuli ziemskiej zdołały się ukonstytuować i w pełni rozwinąć w niewielkim czworoboku, w który wpisany jest Londyn, Berlin, Wiedeń i Paryż. A również w tym czworoboku miało to miejsce tylko w wieku XIX. Dowodzi to, iż nauki eksperymentalne są jednym z najdziwniejszych i najbardziej nieprawdopodobnych twórców historii. Czarownicy, kapłani, wojownicy i pasterze znani byli zawsze i wszędzie. Ale, jak się okazuje, po to, by na świecie mogła się pojawić owa nowa fauna ludzi-eksperymentatorów, musiały powstać warunki dziwniejsze i bardziej nieprawdopodobne od tych, jakich wymagają narodziny jednorozca. Tak naoczny i oczywisty fakt powinien nas zmusić do zastanowienia się nad ulotnym i nieuchwytnym charakterem inspiracji naukowej<sup>35</sup>. Szczęśliwi ci, którzy wierzą, że jeśli Europa zginie, to rozwój nauki będą mogli kontynuować Amerykanie!

Ważną sprawą byłoby gruntowne zgłębienie i dokładne wyszczególnienie historycznych korzeni nauk eksperymentalnych, a co za tym idzie, techniki. Ale nie łudźmy się, że nawet jeśli sprawę ostatecznie wyjaśnimy, to człowiek masowy będzie chciał ją zrozumieć. Nie uwzględni on żadnych racji, przekonać się może jedynie, kiedy odczuwa coś na własnej skórze.

Jest jednak pewna przyczyna, która nie pozwala mi na stracenie złudzeń co do skuteczności prawienia tych racjonalnych, a więc subtelnych morałów. Czy nie jest zbyt absurdem, że w obecnych warunkach

<sup>33</sup> Dlatego też, moim zdaniem, niczego nie wyjaśnia ten, komu się wydaje, że coś wyjaśnia powiadając, że Amerykę Północną określa jej „technika”. Jedną ze spraw, które w sposób niesłychanie poważny zakłócają świadomość europejską, jest zbiór dziecinnie naiwnych przesądów na temat Ameryki Pomocnej, które usłyszeć można nawet z ust ludzi wykształconych i kulturalnych. Jest to szczególnie przypadki zachwiania proporcji, o czym będę jeszcze dalej mówił, pomiędzy zawilocią współczesnych problemów a zdolnością chłonną umysłów ludzkich.

<sup>34</sup> Dokładniej rzecz biorąc, demokracja liberalna i technika wzajemnie się implikują, będąc ze sobą tak ściśle związane, że nie sposób wyobrazić sobie jednej bez drugiej i dlatego należałoby znaleźć trzecie słowo, które zawierałoby w sobie oba te znaczenia. Byłaby to dopiero prawdziwie adekwatna nazwa na określenie wieku XIX.

<sup>35</sup> Nie mówimy tu o sprawach głębszych. Większość samych naukowców nie ma dziś nawet najmniejszego pojęcia o niesłychanie poważnym i niebezpiecznym kryzysie wewnętrznym, który drąży ich nauki.

przeciętny człowiek nie odczuwa spontanicznie, bez potrzeby żadnych kazań, najwyższego zapалу do wspomnianych nauk i do zrodzonej przez nie biologii? Zastanówmy się bowiem nad obecną sytuacją: podczas gdy wszelkie inne dziedziny kultury stały się w sposób oczywisty mocno problematyczne - polityka, sztuka, normy społeczne, a nawet moralność - jedna tylko codziennie dowodzi, w sposób najbardziej bezdyskusyjny i najłatwiej dostrzegalny dla mas, swej wspaniałej skuteczności: jest to dziedzina nauk empirycznych. Każdego dnia umożliwia stworzenie nowego wynalazku, z którego korzystają przeciętni ludzie. Każdego dnia powstaje za jej sprawą nowy środek przeciwbólowy czy nowa szczepionka, będące dobrodziejstwem przeciętnego człowieka. Cały świat wie, że jeśli nie ulegnie osłabieniu inspiracja naukowa, jeśli trzykrotnie, a nawet dziesięciokrotnie zwiększy się liczba laboratoriów, to zwiększy się automatycznie bogactwo, wygoda, zdrowie i dobrobyt. Czyż można sobie wyobrazić doskonalszą i bardziej przekonującą propagandę na rzecz którejś z zasad naszego życia? Jak to się dzieje, że jednak mimo to nie ma cienia wątpliwości, że masy nie są gotowe do najdrobniejszych nawet wyrzeczeń finansowych w celu lepszego wyposażenia nauki? Wręcz przeciwnie, ludzie nauki stali się po wojnie nowymi pariasami społecznymi. Zaznaczam, iż mam tu na myśli fizyków, chemików i biologów - a nie filozofów. Filozofii nie jest potrzebna ani opieka, ani uwaga, ani sympatia mas. Chętnie podtrzymuje pogląd o swej zupełnej bezużyteczności<sup>36</sup>, uwalniając się tym samym od jakiegokolwiek przydatności dla ludzi masowych. Sama siebie ma za istotę problematyczną, przyjmując z radością swobodę niebieskiego ptaka, nie proszącego nikogo o uwagę, o obronę czy zrozumienie. Cieszy się zwyczajną ludzką radością, jeśli się komuś do czegoś przyda; ale soków żywotnych nie czerpie z przynoszonych innym korzyści - ani ich potrzebuje, ani o nie dba. Jak mogłaby mieć komuś za złe, że jej nie bierze poważnie, skoro sama ma wątpliwości co do własnej egzystencji i żyje o tyle, o ile sama siebie zwalcza, sama sobie odmawia życia? Pozostawmy więc filozofię na boku, bo to innego rodzaju przygoda.

Ale nauki eksperymentalne potrzebują mas tak samo, jak one ich potrzebują, jeśli nie mają zginąć. Bez tych nauk ludzkość groziłaby katastrofa, bez fizyki i chemii nie można już wyżywić wszystkich mieszkańców naszej planety.

Czyż można oczekiwać, że racjonalne przestrogi będą miały większą moc przekonującą niż samochód, którym ci ludzie jeżdżą, czy zastrzyk pantoponu, który w sposób *cudowny* uśmierza ich ból! Brak równowagi między ciągle odczuwalnymi i potencjalnymi dobrodziejstwami nauki a okazywanym jej zainteresowaniem jest tak zastraszający, że po tych zachowaniach można już dziś oczekiwać jedynie barbarzyństwa. *Tym bardziej, że z tego, co można zauważyć, owo lekceważenie nauki jako takiej w sposób najbardziej wyrazisty manifestują, w olbrzymiej swej masie, sami technicy* - lekarze, inżynierowie itd. Wykonują zazwyczaj swą pracę, pozostając w istocie rzeczy w identycznym stanie ducha jak ci, którzy zadowolają się używaniem samochodu czy kupnem aspiryny - nie przejawiają nawet cienia głębokiej solidarności z przyszłymi losami nauki i cywilizacji. Są i tacy, których bardziej niepokoją inne objawy rodzącego się barbarzyństwa, które dobywając coś na jaw, a nie pomijając, przez to działanie bardziej rzucają się w oczy i przekształcają się w widowisko. Dla mnie rzeczą najstraszniejszą jest owa dysproporcja pomiędzy korzyściami, jakie przeciętny człowiek czerpie z nauki, a wdzięcznością, którą jej okazuje, lub raczej której nie okazuje.<sup>37</sup> Ten brak należytej wdzięczności uwypuklić można przypomnieniem, iż Murzyni w Afryce centralnej również jeżdżą samochodami i używają aspiryny. Typ Europejczyka, który obecnie *zaczyna* dominować - taka jest moja hipoteza - byłby *w stosunku do skomplikowanej cywilizacji, w której się narodził, człowiekiem prymitywnym, barbarzyńcą, który wyłonił się spod sceny świata, „wertykalnym najeźdźcą”*.

## X

### Prymitywizm a historia

Przyroda jest czymś zastanym. Istnieje sama przez się. Na łonie natury, w dziczy, możemy bezkarnie być dzikusami. Możemy się nawet zdecydować na zawsze nimi pozostać, ryzykując co najwyżej spotkanie z innymi istotami, które nimi nie będą. W zasadzie możliwe jest istnienie ludów wiecznie pierwotnych. I są takie. Breyssig nazwał je „ludami wiecznej jutrzeńki”; zatrzymały się one w stadium bezruchu jakby zamrożonego poranka, który nigdy nie przejdzie w żadne południe.

<sup>36</sup> Arystoteles, *Metafizyka*, 892 a 10.

<sup>37</sup> Monstrualność tego zjawiska po stokroć wzrasta, jeśli sobie uprzytomnimy to, o czym była już uprzednio mowa, mianowicie że wszystkie inne zasady, z których europejska kultura czerpie soki życiowe, takie jak: polityka, prawo, sztuka, moralność, religia, same przeżywają kryzys, znajdując się - przynajmniej przejściowo - w upadku. Jedynie nauka nie chyli się ku upadkowi, jej osiągnięcia są z każdym dniem bardziej obiecujące. Nie ma tu więc konkurencji i nie można wyjaśniać okazywanych jej przez człowieka przeciętnego przejawów niechęci i lekceważenia tym, że zaabsorbował go entuzjazm wobec innej dziedziny kultury.

Tak dzieje się w świecie, który jest tylko Przyrodą. Inaczej jest w świecie, który jest cywilizacją, jak nasz. Cywilizacja nie jest czymś zastanym, nie istnieje sama przez się. Jest tworem - a zatem wymaga istnienia twórcy czy rzemieślnika. Jeśli chce Pan korzystać z owoców cywilizacji, ale nie będzie Pan dbał o jej utrzymanie..., to bardzo się Pan rozczaruje! W dwóch wypadkach na trzy znajdzie się Pan nagle bez cywilizacji. Chwila nieuwagi, i kiedy się Pan rozejrzy wokół siebie, okaże się, że wszystko uleciało! Zupełnie jakby ktoś zdarł tapety, które pokrywały Przyrodę, pojawi się nagle wokół Pana czysta i niczym nie zepsuta, prymitywna dzicz. Dzicz zawsze jest prymitywna. I na odwrót, j Wszystko, co prymitywne, to dzicz.

Romantyków wszystkich epok pociągały sceny przemocy, kiedy to żywioł naturalny i przedludzki powracał, aby zadać gwałt człowieczej słabości kobiety. Malowali więc łabędzia pokrywanego przerażoną Ledę, byka z Pazyfae oraz Antiope gwałconą przez kozła. Uogólniając, można by powiedzieć, że dla romantyków krajobraz ruin, gdzie dzika roślinność dusi w swym uścisku kamienie o geometrycznych kształtach, będące tworem cywilizacji, miał w sobie coś nieuchwytnie nieprzyzwoitego. Kiedy prawdziwy romantyk zobaczy nową dla siebie budowlę, od razu szuka wzrokiem, gdzieś na akroterium czy może w załomach dachu, jakiejś najmniejszej choćby roślinki. Bowiem zwiastuje ona, że w końcu wszystko jest ziemią, że wszędzie kiedyś znowu zakiełkuje dzicz.

Głupotą byłoby śmiać się z romantyków. Oni również mają rację. W tych niewinnie perwersyjnych obrazach tkwi wielki i odwieczny problem stosunków między cywilizacją a stojącą za nią przyrodą, między tym, co racjonalne, a tym, co kosmiczne. Jestem nawet gotów zająć się tym przy innej sposobności, a także stać się w odpowiedniej chwili romantykiem.

Teraz jednak czeka mnie inne zadanie. Chodzi o powstrzymanie nacierającej dziczy. „Dobry Europejczyk” powinien obecnie skupić swą uwagę na problemie, który, jak wiadomo, stanowi poważną troskę stanów australijskich, a więc jak przeszkodzić temu, by opuncje nie zajmowały coraz większego obszaru i nie spychały ludzi do morza. W latach czterdziestych ubiegłego wieku jakiś śródziemnomorski emigrant - może z Malagi, może z Sycylii? - przepelnięty miłością do ojczyźnych stron, zabrał ze sobą do Australii małą opuncję. Obecnie Poważna część rocznego budżetu tego kraju przeznaczona jest na zwalczanie opuncji, która zdobyła kontynent, zagarniając co roku nowy kilometr kwadratowy terenu.

Człowiek masowy jest przekonany, że cywilizacja, w której się urodził i z której korzysta, jest czymś równie spontanicznym i pierwotnym jak przyroda, i *ipso facto* staje się prymitywem. Wydaje mu się, że cywilizacja to dzicz. Już o tym mówiłem, ale teraz trzeba to twierdzenie uściślić.

Zasady leżące u podstaw świata cywilizowanego, który należy utrzymać przy życiu, dla współczesnego człowieka przeciętnego nie istnieją. Nie interesują go wartości leżące u podstaw kultury, nie solidaryzuje się z nimi, nie czuje się wcale skłonny do tego, by im służyć. Jak to się stało? Istnieje po temu wiele powodów, ale teraz chciałbym się szczególnie zająć jednym z nich.

Cywilizacja, w miarę swego rozwoju, staje się coraz bardziej skomplikowana i coraz trudniejsza. Problemy, przed którymi obecnie stoimy, są niesłychanie splecione. Coraz mniej jest ludzi, których umysł jest w stanie im sprostać. Okres powojenny jest dobrym tego przykładem. Odbudowa Europy - jak to wyraźnie widać - jest sprawą nader skomplikowaną i przekracza możliwości przeciętnego Europejczyka. Nie chodzi o to, że zabrakło po temu środków. Brakuje głów. Dokładniej rzecz biorąc: jest kilka takich głów, choć bardzo niewiele; ale ordynarne cielsko Europy Środkowej nie chce ich osadzić na swojej szyi.

Dysproporcje między złożoną subtelnością problemów do rozwiązania a poziomem umysłów staną się jeszcze większe, jeśli nie znajdzie się jakiś środek zaradczy i to właśnie jest największym dramatem naszej cywilizacji. Opiera się ona na trafnych i płodnych zasadach i dlatego zwiększa się ilościowo i jakościowo jej dorobek, przekraczając możliwości odbioru normalnego człowieka. Nie sądzę, by podobna sytuacja istniała kiedykolwiek w przeszłości. Wszystkie dotychczasowe cywilizacje zginęły na skutek niedostatków zasad, na których zostały zbudowane. Cywilizacji europejskiej grozi coś wręcz przeciwnego. W Grecji i Rzymie nie zawiodł człowiek, lecz jego zasady. Imperium rzymskie upadło na skutek braku odpowiedniej techniki. Świat starożytny osiągnął znaczną liczbę ludności i tak szeroka społeczność wymagała rozwiązania pewnych problemów materialnych, którego dokonać mogła jedynie technika. Jej brak doprowadził do powikłań, regresji i zniszczenia kultury antycznej.

Obecnie zawodzi człowiek, nie nadążając za rozwojem własnej cywilizacji. Z przykrością słucha się wypowiedzi ludzi stosunkowo kulturalnych i wykształconych na najbardziej istotne tematy dnia dzisiejszego. Sprawiają wrażenie wiejskich parobków, którzy grubymi i niezgrabnymi paluchami starają się uchwycić leżącą na stole igłę. I tak na przykład omawiając tematy polityczne i społeczne posługują się prymitywnymi pojęciami sprzed dwustu lat, które dotyczyły sytuacji dwieście razy mniej skomplikowanych.

Rozwinięta cywilizacja to nic innego jak nagromadzenie się trudnych i zawiłych problemów. Dlatego też im większy jest jej postęp, w tym większym znajduje się ona niebezpieczeństwie. Życie jest coraz lepsze, ale nie ulega wątpliwości, że jest ono też coraz bardziej skomplikowane. Oczywiście, większemu skomplikowaniu się problemów towarzyszy doskonalenie się środków potrzebnych do ich rozwiązywania. Jest jednak rzeczą konieczną, by każde nowe pokolenie przyswajało sobie umiejętność stosowania tych nowych, udoskonalonych środków. Jednym z nich - przechodząc na chwilę do konkretów - nieodłącznie związanym z postępem

cywilizacji, jest świadomość pozostającej za plecami przeszłości, posiadanie wielkiego doświadczenia; krótko mówiąc - historia. Wiedza historyczna jest jedną z pierwszorzędných technik zachowywania i kontynuowania rozwiniętej cywilizacji. Nie dlatego, że podsuwa gotowe rozwiązanie dla nowo powstających konfliktów życiowych (życie jest zawsze inne, niż było przedtem), ale dlatego, że pozwala uniknąć podstawowych błędów popełnionych w przeszłości. Ale jeśli ktoś, starzejąc się, napotyka coraz większe trudności, a na domiar złego stracił pamięć i nie jest w stanie korzystać z nagromadzonych doświadczeń, wówczas następuje klęska. Taka właśnie jest, moim zdaniem, sytuacja współczesnej Europy. Dzisiejszych ludzi „kulturalnych i wykształconych” cechuje wprost nieprawdopodobna nieznajomość historii. Twierdzę, iż obecnie przywódca europejski ma znacznie mniejszą wiedzę historyczną niż ten w XVIII, a nawet XVII wieku. Niebywały postęp, jaki się dokonał w wieku XIX, stał się możliwy dzięki wiedzy historycznej, którą posiadały mniejszości rządzące - rządzące *sensu lato*. Myśląc o polityce, miały one zawsze przed oczami wiek XVIII, tak aby uniknąć błędów politycznych popełnianych w przeszłości; nowe zasady polityki opracowywano zawsze z *perspektywy* tamtych błędów i tym samym była ona ukoronowaniem doświadczenia pokoleń. Ale już w wieku XIX zaczęła zanikać „kultura historyczna”, chociaż historia jako dziedzina nauki dzięki wysiłkom specjalistów poczyniła wielkie postępy.<sup>38</sup>

Było to też przyczyną większości właściwych temu wiekowi błędów, których skutki dziś odczuwamy. W ostatnich trzydziestu latach XIX wieku rozpoczął się powolny, jeszcze utajony schyłek, cofanie się ku barbarzyństwu; czyli, innymi słowy, nawrót do naiwności i prymitywizmu ludzi, którzy przeszłości nie mają albo o niej zapomnieli.

Dlatego też *bolszewizm* i *faszizm* są dwoma „nowymi” w polityce wynalazkami, które odkryto w Europie i na jej krańcach. Stanowią one wyraźny przykład istotnego regresu. Mam tu na myśli nie tyle pozytywną treść ich doktryn, która, wyodrębniona z całości, jest oczywiście częściową prawdą - któż na tym świecie nie ma choćby odrobiny racji? - ile *antyhistoryczny*, anachroniczny sposób, w jaki tę część prawdy ujmują. Te typowe ruchy ludzi masowych, kierowane przez ludzi poślednich, pozaczasowych, pozbawionych pamięci i „świadomości historycznej”, przybierają od początku formy przestarzałe, zupełnie jakby pojawiwszy się obecnie, należały zarazem do dawno wymarłej fauny.

Zagadnienie nie polega na tym, czy się jest, czy nie jest komunistą i bolszewikiem. Nie zamierzam tu dyskutować samego credo. Anachroniczne i trudne do pojęcia jest to, że komunistą z roku 1917 bierze się do robienia rewolucji, która w swojej formie jest taka sama jak wszystkie poprzednie, nie uwzględniając i nie dążąc do zmiany nawet najdrobniejszych braków i błędów rewolucji dawniejszych. Dlatego też to, co się stało w Rosji, nie jest wcale interesujące z historycznego punktu widzenia i bynajmniej nie zwiastuje czegoś nowego. Wręcz przeciwnie, wydarzenia te są monotonnym powielaniem odwiecznego wzoru rewolucji, są doskonałym przykładem rewolucyjnego banału, i to do tego stopnia, że nie ma takiego frazesu (wśród wielu na temat rewolucji ukutych przez ludzkość), który by w niej nie znalazł smutnego potwierdzenia. „Rewolucja pożera własne dzieci”, „Rewolucję zaczyna ugrupowanie umiarkowane, następnie jej ster przechodzi w ręce ekstremistów i wkrótce zaczyna się odwrót ku restauracji”, itd. Do tych wielce szacownych twierdzeń dorzucić można jeszcze kilka prawd mniej znanych, ale nie mniej istotnych, jak np. ta, że rewolucja nie trwa dłużej niż piętnaście lat, co zbiega się z okresem żywotności jednego pokolenia.<sup>39</sup> Ten, kto naprawdę dąży do stworzenia nowej rzeczywistości społecznej, musi przede wszystkim skupić swoją uwagę na tym, by w sytuacji, którą tworzy, nie powtarzały się owe najbanalniejsze błędy zawarte w historycznym doświadczeniu ludzkości. Dla mnie genialnym politykiem jest taki, który ledwie rozpocznie działalność, już przyprawia o szal profesorów historii z różnych uczonych instytucji, którzy nagle spostrzegają, iż wszystkie „prawa” ich nauki okazują się nieważne, rozbite, sponiewierane.

To samo można powiedzieć o odwrotnej stronie bolszewizmu, tj. o faszyzmie. Ani jeden, ani drugi ruch nie „dorastają do poziomu naszych czasów”, nie zawierają w sobie skondensowanej przeszłości, co jest warunkiem niezbędnym do tego, by ją móc przewyższyć. Z przeszłością nie walczy się jak równy z równym. Przyszłość zwycięża dopiero wtedy, kiedy ją w całości połknie. Jeśli choć część zostawi na zewnątrz - jest stracona.

Bolszewizm, jak i faszyzm - te dwie pseudojutrzenki - nie zwiastują nadejścia poranku nowego dnia, lecz jakiegoś innego, dawniejszego, już mocno sfatygowanego; a zatem i jedno, i drugie to prymitywizm, tak samo jak są nim wszystkie ruchy społeczne, które sprowadzają się do gwałtownego zwalczania tego czy innego fragmentu przeszłości, zamiast spokojnie trawić ją w całości.

<sup>38</sup> Już tu można dostrzec pierwsze oznaki zależności między stanem nauki w danej epoce a stanem kultury, o czym za chwilę będziemy mówili.

<sup>39</sup> Pokolenie aktywnie działa w ciągu mniej więcej trzydziestu lat. Ale działalność ta dzieli się na dwa etapy i przyjmuje dwie formy: w pierwszej, z grubsza rzecz biorąc, połowie tego okresu nowe pokolenie propaguje swoje idee, wybory i gusty, które w końcu nabierają żywotnej mocy i już niepodzielnie panują w drugim etapie życia pokolenia. Następne pokolenie, wychowane pod panowaniem poprzedniego, ma już nowe idee, wybory i gusty, które publicznie wyraża. Jeśli idee i gusty pokolenia panującego mają charakter ekstremistyczny, a tym samym rewolucyjny, to nowe pokolenie z reguły jest antyekstremistyczne i antyrewolucyjne, to znaczy w duszy skłania się ku restauracji. Oczywiście, pod słowem „restauracja” nie należy rozumieć prostego „powrotu do dawnego”; żadna restauracja nigdy taka nie była.

Nie ulega wątpliwości, że dziewiętnastowieczny liberalizm trzeba zastąpić czymś doskonalszym. Ale tego właśnie nie jest w stanie dokonać ten, kto, jak faszyci, sam siebie określa jako antyliberała. Bo antyliberalizm czy brak liberalizmu jest właśnie tym, co cechowało ludzi żyjących przed nastaniem epoki liberalizmu. Istnieje nieodwracalna chronologia życia. Liberalizm następuje po antyliberalizmie albo też, co na jedno wychodzi, jest doskonalszą od niego formą życia, tak samo jak armata jest doskonalszą bronią niż włócznia. W pierwszej chwili wydaje się, że postawa „antycemuś” jest wtórna wobec tego „czegoś”, założenie, iż jest reakcją na to coś, sugeruje uprzednie istnienie tego czegoś. Ale nowość, jaką przedstawia owo *anty*, przechodzi w pusty frazes przeczenia, którego pozytywna treść przypomina dawno zarośnięte ruiny. Ktoś, kto deklaruje, że jest antypiotrowy nie czyni nic innego, tłumacząc rzecz na język pozytywny, jak tylko stwierdza, że jest zwolennikiem świata, na którym nie ma Piotra. Ale taki właśnie był świat wtedy, kiedy Piotr się jeszcze nie narodził. A zatem przeciwnik Piotra zajmuje miejsce nie po nim, lecz przed nim, cofając się do sytuacji dawniejszej, ale kiedy ona przeminie, znowu w sposób nieunikniony pojawi się Piotr. A więc z wszystkimi tymi zwolennikami postawy *anty* dzieje się to samo, co według legendy stało się niegdyś z Konfucjuszem, który narodził się, oczywiście, po swoim ojcu; ale - ot, niespodzianka! - podczas gdy ojciec miał wówczas niespełna trzydzieści lat, to Konfucjusz miał od razu osiemdziesiąt. Wszelkie *anty* to nic innego jak zwyczajne, puste *nie*.

Wszystko byłoby nadzwyczaj proste, gdyby jednym zwyczajnym *nie* można było unicestwić całą przeszłość. Ale przeszłość, z samej swojej istoty ma charakter *revenant*, powracający. Mimo odrzucenia, ciągle powraca w sposób nieunikniony. Dlatego też jedyną autentyczną metodą jej przewyciężenia nie jest jej odrzucenie, ale liczenie się z nią. Mając ją ciągle przed oczyma, należy zachowywać się tak, by ją pokonać, unikając powtarzania błędów. Słowem, żyć należy „na poziomie czasów”, będąc zarazem silnie i świadomie uwrażliwionym na bieg dziejów.

Przeszłość ma rację, swoją rację. Jeśli się jej nie przyzna, to będzie się o nią dopominać, narzucając się przy okazji z innymi racjami, których nie posiada. Liberalizm miał pewną rację, i tę trzeba mu przyznać per *saecula saeculorum*. Ale nie miał całej racji i to właśnie, co było w nim niesłuszne, należy odrzucić. Europa musi zachować istotę liberalizmu. Jest to warunek konieczny do tego, by go mogła przewyciężyć.

Mówiłem tu w sposób pośredni o faszyzmie i bolszewizmie, skupiając się jedynie na ich anachronicznych rysach. Anachroniczność ta jest, według mnie, nieodłączną cechą wszystkich ruchów, które dziś wydają się odnosić sukcesy. Obecnie triumfuje człowiek masowy i dlatego też jedynie ruchy dla niego stworzone i przepojone jego prymitywizmem mogą dziś liczyć na powodzenie. Nie zamierzam tu wchodzić w głębsze treści faszyzmu czy bolszewizmu, tak samo jak nie jest moim zamiarem rozstrzygnięcie odwiecznego dylematu pomiędzy rewolucją i ewolucją. W tym eseju pragnę jedynie wysunąć skromne żądanie, by zarówno ewolucja, jak i rewolucja miała charakter historyczny, a nie anachroniczny.

Tematy, które tu rozważam, są politycznie neutralne, ponieważ dotyczą znacznie głębszych warstw niż polityka i toczące się w jej łonie spory. Konserwatysta czy radykał nie muszą wcale być zarazem mniej lub bardziej masą, różnice między nimi - które zawsze w dziejach były bardzo powierzchowne - w najmniejszym nawet stopniu nie przeszkadzają temu, by obaj reprezentowali ten sam typ człowieka - zbuntowanego człowieka pospolitego.

Europa znajdzie się w sytuacji bez wyjścia, jeśli jej los nie zostanie złożony w ręce ludzi prawdziwie „współczesnych”, którzy wyczuwają podskórny puls dziejów, rozumieją dzisiejszy poziom życia i żywią wstręt do postaw archaicznych i wszelkiego prymitywizmu. Jedynie dzieje ujęte całościowo i prawdziwie mogą nas od tego uchronić.

## XI

### Epoka „zadufanego paniczyka”

Podsumowanie. Nowe zjawisko społeczne, które tu analizujemy, wygląda tak: wydaje się iż po raz pierwszy o dziejach Europy decyduje człowiek pospolity jako taki. Albo też mówiąc w stronie czynnej: człowiek pospolity, uprzednio kierowany, postanowił sam rządzić światem. Owo postanowienie o wysunięciu się na społeczny plan pierwszy zrodziło się w nim automatycznie, jak tylko dojrzał nowy, reprezentowany przezeń, typ człowieka. Jeżeli, mając na uwadze współczesne życie publiczne, rozpatrzymy strukturę psychologiczną tego nowego typu człowieka masowego, to stwierdzimy, że 1) cechuje go wrodzone i głęboko zakorzenione przekonanie o tym, że życie jest łatwe, dostatnie i pozbawione jakichkolwiek tragicznych ograniczeń; a co za tym idzie, każdego przeciętnego osobnika wypełnia poczucie panowania i triumfu, które 2) skłania go do afirmacji siebie samego takim, jakim jest, i uznawania własnych treści moralnych i intelektualnych za w pełni doskonałe. To samozadowolenie powoduje, iż zamyka się w sobie, odcinając się od wszelkich instancji zewnętrznych, że nie słucha, że swoich opinii nie poddaje ocenie innych i że z nikim się nie liczy. Jego

wewnętrzne poczucie panowania każe mu ciągle wykazywać przewagę. Postępuje więc tak, jak gdyby na tym świecie istniał tylko on i ludzie jemu podobni. 3) wtrąca się do wszystkiego, narzucając wszystkim swoje pospolite przekonania, a czyni to bezceremonialnie, bez żadnych wahań czy względów na innych, słowem, stosuje metodę „akcji bezpośredniej”.

Ten zestaw cech nasuwa nam myśl o pewnych niedoskonałych sposobach bycia człowiekiem - takich jak „rozpuszczone dziecko” czy zbuntowany prymityw; innymi słowy - barbarzyńca. (Normalny prymityw, wręcz przeciwnie, jest człowiekiem chętnie ulegającym autorytetowi odwiecznie istniejących wyższych instancji, takich jak: religie, tabu, tradycje społeczne, obyczaje). Nie należy się dziwić temu, iż wypowiadam tu sarkastyczne uwagi na temat tego typu istot ludzkich. Esej ten jest niczym innym jak pierwszą próbą ataku na zwycięskie pozycje tego typu ludzi oraz zapowiedzią, że niektórzy Europejczycy zdecydowani są stawić stanowczo czoło tyranii. Na razie mowa jest tylko o próbie ataku; generalny szturm zostanie przypuszczony później, być może już całkiem niedługo, przyjmując inną formę niż to, co zostało tu zaprezentowane. Generalny atak musi przybrać taką postać, by człowiek masowy nie zdążył przygotować obrony, by obserwując nadchodzące zdarzenia, nie miał nawet pojęcia, że to właśnie jest szturm generalny.

Ów człowiek, który obecnie przenika wszędzie, narzucając wszystkim swe wrodzone barbarzyństwo, w sumie jest rozpuszczonym dzieckiem dziejów ludzkich. Rozpuszczone dziecko to dziedzic, który zachowuje się tylko i wyłącznie jak dziedzic. W naszym wypadku dziedzictwem jest cywilizacja - wygody, pewność, bezpieczeństwo - w ogólności zdobycze cywilizacji. Jak to już zauważyliśmy, człowiek o takim zestawie cech i o takim właśnie charakterze pojawić się mógł jedynie w warunkach życiowych wygód i ułatwień, jakie mu stworzyła cywilizacja. Jest to jedna z wielu deformacji, jakie w duszy ludzkiej powodują dostatek i luksus. Skłonni jesteśmy do iluzorycznej wiary w to, iż życie zrodzone w świecie dostatku będzie lepsze, pełniejsze i bardziej wartościowe niż to, które polega na walce z niedostatkiem. Tak jednak nie jest. Istnieją po temu najbardziej fundamentalne przyczyny, o których nie będziemy teraz mówić. Zamiast wyliczać powody tego stanu rzeczy, wystarczy tu przypomnieć ciągle powtarzające się zjawisko, które jest tragedią każdej arystokracji dziedzicznej. Dziedziczny arystokrata rodzi się i wzrasta w warunkach życiowych, których sam nie stworzył, i które nie są organicznie związane z jego własnym, osobistym życiem. Od momentu urodzenia, sam nie wiedząc jak i dlaczego, znajduje się nagle umiejscowiony pośród swoich bogactw i przywilejów. Wewnętrznie nie ma z nimi nic wspólnego, bo nie od niego pochodzą. Są olbrzymim kokonem kogoś innego, innej istoty żywej, jakiegoś jego przodka. Zmuszony jest żyć jako dziedzic, musi używać kokonu należącego do innego życia. Do czego nas to prowadzi? Jakie życie będzie udziałem dziedzicznego „arystokraty”, jego własne czy tamto wielkiego przodka? Ani jedno, ani drugie. Skazany jest na *reprezentowanie* tamtego, a tym samym na *niebycie* ani tamtym, ani sobą. Jego życie zetraca, w sposób nieunikniony, wszelką autentyczność, przechodząc w czystą reprezentację, czy też stając się fikcją innego życia. Nadmiar środków, którymi zmuszony jest operować, nie pozwala mu przeżyć własnego przeznaczenia, powoduje atrofię życia osobistego. *Każde życie to walka, to usilne dążenie do bycia sobą samym*. Trudności, jakie napotykamy w realizowaniu swego życia, są tym właśnie czynnikiem, który rozbudza i uruchamia nasze możliwości działania, nasze zdolności. Gdyby nasze ciało nie ciążyło, nie moglibyśmy chodzić. Gdyby atmosfera nie wywierała na nas nacisku, to czulibyśmy, iż nasze ciało jest czymś niekształtnym, ulotnym, urojonym. Tak samo osobowość dziedzicznego „arystokraty” nie zmuszona do pokonywania trudności i do jakiegokolwiek życiowego wysiłku traci swój własny, osobisty wyraz. Rezultatem tego jest owa specyficzna głupota starej arystokracji, której tragiczny, wewnętrzny mechanizm nie został dotychczas opisany, a który w sposób nieuchronny prowadzi każdą arystokrację dziedziczną do degradacji.

Już ten przykład wystarczy, by podważyć naszą naiwną skłonność do wiary, iż dostatek czy nadmiar zasobów mają na życie dobroczynny wpływ. Wręcz przeciwnie. Świat o nadmiarze możliwości<sup>40</sup> rodzi automatycznie poważnie zdeformowane, patologiczne typy ludzkie - można je wszystkie określić wspólnym mianem „człowieka-dziedzica”; „arystokrata” jest jedynie szczególną odmianą tego typu, inną odmianą jest rozpuszczone dziecko, a jeszcze inną, najpełniejszą i najbardziej radykalną, jest współczesny człowiek masowy. (Z drugiej strony należałoby tu może bardziej pogłębić uprzednie uwagi o „arystokratach”, wskazując na to, jak wiele cech charakterystycznych dla tej grupy, występujących we wszystkich epokach i u wszystkich ludów, odnaleźć można w człowieku masowym. Na przykład: skłonność do czynienia z zabawy i sportu głównej sprężyny życia; pielęgnacja własnego ciała, dbałość o urodę i strój; brak romantyzmu w stosunkach z kobietami; zabawianie się z intelektualistami z odczuwaniem w głębi duszy pogardy dla nich, skazywanie ich na chłostę

---

<sup>40</sup> Należy pamiętać o tym, by nie mieszać pojęć wzrostu czy nawet obfitości środków z pojęciem ich nadmiaru. W wieku XIX wzrastały życiowe ułatwienia, powodując ów cudowny rozkwit życia - zarówno w sensie ilościowym, jak i jakościowym. Ale nadszedł moment, w którym świat cywilizowany postawiony wobec możliwości chłonnych człowieka przeciętnego okazał się światem nadmiernej obfitości, przesadnie bogatym, światem *nadmiaru*. Oto jeden tylko przykład: pewność i zaufanie, jakie wydajemy się wiązać z postępem (ciągly wzrost możliwości życiowych) zdemoralizowałyby zwyczajnego człowieka, wpajając mu pewność siebie, która jest fałszywa, atroficzna, zła.

rękami lokajów i zbirów; upodobanie do życia pod rządami absolutnymi i niechęć do dyskusji politycznych<sup>41</sup> itd.).

A więc, podkreślam to raz jeszcze, z przykrością stwierdzam, że ów nieokrzesany człowiek, ten nowy barbarzyńca jest automatycznym produktem nowoczesnej cywilizacji, szczególnie tej odmiany cywilizacji, która panowała w wieku XIX. Ci nowi barbarzyńcy nie pojawili się w cywilizowanym świecie z zewnątrz, jak „potężni biali barbarzyńcy” z V wieku, nie zrodzili się w nim nagle, nie wiadomo skąd, jak zdaniem Arystotelesa zabi skrzek w błotnistej kałuży, lecz stanowią naturalny owoc jego rozwoju. Należy tu sformułować prawo, potwierdzone przez paleontologię i biogeografię, które mówi, że życie ludzkie pojawiło się i rozwinęło dopiero wtedy, kiedy środki pozostające w jego dyspozycji równoważyły napotykaną trudności. Odnosi się to zarówno do sfery duchowej, jak i fizycznej. Odwołam się tu do bardzo konkretnego wymiaru życia biologicznego. Okazuje się, że gatunek ludzki najlepiej się rozwijał w tych strefach naszej planety, gdzie po okresie gorąca następował okres intensywnych chłódów. W tropikach zwierzę zwane człowiekiem ulega degradacji, i odwrotnie, rasy podrzędniejsze - jak np. Pigmeje - spychane są do tropików przez rasy zrodzone później i będące na wyższym szczeblu ewolucji.<sup>42</sup>

Tak więc cywilizacja XIX wieku jest tego rodzaju, że pozwala zwyczajnemu człowiekowi rozsiać się wygodnie w świecie dostatku, w którym dostrzega on jedynie obfitość środków, pozostając ślepy na trudności i niepokoje. Widzi się otoczony wspaniałymi narzędziami, dobroczynnymi lekami, mądrą organizacją państwa, wygodnymi przywilejami. Ale zupełnie nie zauważa trudu, jakiego wymaga wynalezienie tych narzędzi i leków, a także zapewnienie ich dalszej produkcji; nie dostrzega kruchości równowagi, na której opiera się organizacja państwa, i nie czuje się prawie do niczego zobowiązany. Owa jednostronność widzenia powoduje u niego zafałszowanie świata, niszczy jego żywotny rdzeń, pociągając za sobą utratę kontaktu z samą istotą życia, które jest absolutnym zagrożeniem, radykalną niepewnością. Formą najbardziej sprzeczną z życiem ludzkim, jaką ono może przyjąć, jest postać „zadufanego paniczyka”. Dlatego też, kiedy ta forma życia zaczyna dominować, należy natychmiast podnosić alarm przestrzegając, iż życiu ludzkiemu grozi zwyrodnienie, czyli względna śmierć. Tak więc poziom życia w Europie jest dzisiaj wyższy niż kiedykolwiek w przeszłości, ale spojrzenie w przyszłość budzi obawy, że poziom ten nie tylko nie utrzyma się czy jeszcze bardziej się podniesie, ale wręcz przeciwnie, opadnie, cofając się do stanu z minionych epok.

Uważam, iż wskazuje na to wyraźnie pojawienie się anomalii, jaką jest typ „zadufanego paniczyka”. Jest to bowiem typ człowieka, który przyszedł na świat po to, by robić to, co mu się podoba. W istocie, takie właśnie wyobrażenie o życiu ma rodzinny „beniaminek”. Wiemy już dobrze dlaczego: po prostu w gronie rodziny wszystko, nawet najcięższe wykroczenia, mogą uść bezkarnie. Krąg rodzinny jest tworem względnie sztucznym i toleruje w swoim łonie wiele czynów, które w społeczeństwie, na ulicy, automatycznie pociągnęłyby za sobą fatalne dla sprawcy konsekwencje. „Paniczyk” to ktoś, kto uważa, iż poza domem może się zachowywać tak samo jak w domu, i kto nie wierzy, by cokolwiek mogło za sobą pociągnąć fatalne, nieodwracalne skutki. Dlatego też uważa, iż może robić, co mu się żywnie podoba.<sup>43</sup> Cóż za wielkie nieporozumienie! *Vossa merce ira a onde o levem*<sup>44</sup>, jak to się mówi do papugi w portugalskiej bajce. Nie chodzi o to, że nie *powinno* się robić tego, na co się ma ochotę, rzecz w tym, iż nie można zrobić czegoś innego niż to, co każdy z nas *musi* zrobić, czym *musi* być. Można najwyżej odmówić czynienia tego, co się czynić powinno; ale to wcale nie daje nam swobody robienia tego, co nam się podoba. Mamy tu jedynie negatywną wolność woli - *wolność odmowy*. Możemy niewątpliwie uciec od najbardziej dla nas autentycznego przeznaczenia, ale stajemy się wówczas więźniami niższych jego pokładów. Nie jestem w stanie wskazać każdemu czytelnikowi, jakie jest jego indywidualne, autentyczne przeznaczenie z tej prostej przyczyny, że większości swoich czytelników nie znam: ale można to zrobić w tych fragmentach czy rysach przeznaczenia, które są wspólne dla wielu ludzi. I tak na przykład każdy współcześnie żyjący Europejczyk jest przeświadczony, i to nawet bardziej niż co do innych wyrażanych przez siebie sądów i opinii, że każdy człowiek w Europie *musi* mieć liberalne przekonania. Nie chcę się tu wdawać w dyskusję na temat tego, czy panować powinna taka albo inna forma wolności. Chodzi mi o to, że nawet

<sup>41</sup> Zarówno w tym, jak i w innych wypadkach wyjątek od tego, co powiedziałem wyżej, zdaje się stanowić arystokracja angielska. Jednakże, choć jest to podziwu godny przypadek, wystarczy nakreślić z grubsza główne kontury dziejów Wielkiej Brytanii, by stwierdzić, że ten wyjątek potwierdza regułę. Wbrew temu, co się na ogół sądzi, arystokracja brytyjska w mniejszym stopniu niż inne arystokracje europejskie wystawiona była na oddziaływanie „nadmiaru”, zawsze żyła w większym niż inne zagrożeniu. I dlatego właśnie, że żyła w zagrożeniu - wiedziała, że musi i potrafiła narzucić innym szacunek dla siebie - przy założeniu permanentnego stanu czujności. Zapomina się zazwyczaj o pewnym zasadniczym fakcie, mianowicie o tym, że Anglia prawie do końca XVIII wieku była najbiedniejszym krajem w Europie Zachodniej. To właśnie uratowało arystokrację. Ponieważ nie cierpiała na nadmiar bogactwa, wcześniej została zmuszona do podjęcia działalności w sferze handlu i przemysłu, co na kontynencie pozostawało zajęciem niegodnym szlachcica, a tym samym zamiast trzymać się kurczowo starych przywilejów, wcześniej zaczęła życie gospodarczo-twórcze.

<sup>42</sup> Patrz Olbricht, *Klima und Entwicklung*, (1923).

<sup>43</sup> Naród w stosunku do wspólnoty narodów jest tym samym, tylko w większym wymiarze, co dom w stosunku do społeczeństwa. Jak dalej zobaczymy, jednym z najbardziej wyraźnych, a zarazem najpoważniejszych objawów „paniczykstwa” jest decydowanie się niektórych narodów na to, by w życiu międzynarodowym „czynić to, co im się żywnie podoba”. Nazywa się to naiwnie „nacjonalizmem”. Ja, który z jednej strony żywie wstręt do internacjonalizmu, z drugiej uważam za groteskowe owo przejściowe „paniczykstwo” różnych pomniejszych narodów.

<sup>44</sup> Pójdiesz tam, dokąd cię zaprowadzę (przyp. Maria Dietl).



najbardziej reakcyjny Europejczyk w głębi duszy zdaje sobie sprawę z tego, że to, co Europa osiągnęła w ostatnim wieku pod hasłem liberalizmu, jest w ostatecznym rachunku czymś nieuniknionym i nieodwracalnym, że taki już jest człowiek Zachodu, czy mu się to podoba, czy nie.

Pomimo iż nie ulega wątpliwości, że wszystkie dotychczasowe konkretne próby wdrożenia w życie tego niewybaczalnego imperatywu wolności politycznej, już na stałe wpisanego w europejskie przeznaczenie, były fałszywe i nieudane, to jednak czymś ostatecznie oczywistym pozostaje to, iż w ostatnim stuleciu ma on za sobą *istotną rację*. Tej *ostatecznej* oczywistości ulega zarówno europejski komunista, jak faszysta, choćby nie wiem jak starali się przekonać innych czy samych siebie, że tak nie jest, tak samo jak ulega jej - czy mu się to podoba, czy nie, czy w to wierzy, czy nie - katolik, dla którego największą wyrocznią jest *Syllabus*<sup>45</sup>. Wszyscy „wiedzą”, że gdzieś tam dalej, za słuszną krytyką zwalczającą różne objawy liberalizmu, tkwi jego nieodwracalna prawda, nie teoretyczna, naukowa czy intelektualna, ale zupełnie innego i bardziej doniosłego typu - prawda przeznaczenia. Prawdy teoretyczne nie tylko, że są dyskusyjne, ale cała ich siła i sens leży w tym, że są dyskutowane; rodzą się z dyskusji, żyją o tyle tylko, o ile są dyskutowane, są *wyłącznie* tworem dyskusji. Natomiast przeznaczenia - czyli tego, co w sensie witalnym ma być albo czego być nie ma - się nie dyskutuje, można je jedynie przyjąć lub go nie przyjąć. Jeśli je przyjmujemy, jesteśmy autentyczni; jeśli nie przyjmujemy go, jesteśmy zaprzeczeniem nas samych<sup>46</sup>. Przeznaczenie nie polega na robieniu tego, na co mamy chęć, objawia się ono raczej w świadomości, iż *musimy* robić to, na co nie mamy ochoty.

Tak więc „zadufanego paniczyka” charakteryzuje to, że „wie”, jak być powinno, ale mimo to, i właśnie dlatego, zarówno przez swoje słowa, jak i przez swe czyny stara się dowieść, iż jego przekonania są wręcz odwrotne. Faszysta występuje przeciwko wolności politycznej właśnie dlatego, że wie, iż w ostatecznym rachunku jest ona czymś niezbywalnym i że stała się w sposób nieodwracalny czymś istotnym dla życia europejskiego, w czym zawsze znajduje oparcie w ostatniej godzinie ten, komu wolności zabraknie. Albowiem właśnie brak powagi, „żart”, to egzystencjalna dominanta człowieka masowego. Nic, co robi, nie ma nieodwracalnego charakteru, podobnie jak psoty domowego „beniaminka”. Cały ten pośpiech, by we wszystkich dziedzinach życia przyjmować postawy stanowcze, ostateczne, tragiczne to tylko zewnętrzne pozory. Ludzie bawią się w tragedię, bo nie wierzą, by w świecie cywilizowanym możliwa była prawdziwa tragedia.

Byłoby wielkim uproszczeniem, gdybyśmy uznali za autentyczne *ja* tę osobowość, którą nam dana osoba ostentacyjnie manifestuje. Jeżeli ktoś upiera się przy tym, iż wierzy, że dwa plus dwa równa się pięć, a nie mamy powodów, by sądzić, iż jest umyślowo nie w porządku, to należy uznać za pewne, że wcale w to nie wierzy, choćby nie wiadomo jak głośno tego dowodził, a nawet dał się za to zabić.

Przez starą Europę dmie wicher wszechogarniającej i nader różnorodnej farsy. Prawie wszystkie postawy, które się przyjmuje i manifestuje, są wewnętrznie fałszywe. Cały wysiłek skierowany jest na ucieczkę od własnego przeznaczenia, na niedostrzeganie go, na unikanie konfrontacji z *tym, czym się być powinno*. Życie jest tym bardziej humorystyczne, im bardziej tragiczna jest przybrana maska. Życie jest humorystyczne zawsze wtedy, kiedy przybierane postawy można odwołać czy unieważnić, a dana osoba nie identyfikuje się z nimi całkowicie i bez zastrzeżeń. Człowiek masowy nie stoi nogami na twardym i niewzruszonym podłożu swego przeznaczenia, lecz woli raczej fikcyjną egzystencję, zawieszony w przestworzach. Dlatego też te życia, bez wagi i bez korzeni - *wyrwane* ze swego przeznaczenia - tak łatwo dają się porwać nawet najslabszym prądom. Żyjemy w epoce „prądów” i „dawania się porwać”. Prawie nikt nie stawia oporu powierzchownym prądom, jakie się współcześnie pojawiają w sztuce, ideologii, polityce czy obyczajowości. Dlatego też retoryka odnosi teraz większe triumfy niż kiedykolwiek przedtem. Surrealiście wydaje się, iż przezwyciężył całą historyczną spuściznę literacką, pisząc (tu następuje słowo, którego nie warto pisać), tam gdzie inni pisali Jaśminy, łabędzie i nimfy”. Ale czyniąc tak, sięga po prostu do innej formy retoryki, która dotychczas kryła się po labiryntach.

Zrozumienie obecnej sytuacji może nam ułatwić porównanie jej, przy zachowaniu oczywiście należnych proporcji, z innymi podobnymi sytuacjami, które miały miejsce w przeszłości. Tak się składa, że kiedy cywilizacja śródziemnomorska osiągała swój najwyższy poziom - to jest około III wieku p.n.e. - pojawili się cynicy. Na wspaniałych dywanach Arystypa stanął Diogenes w zabłoconych sandałach. Cynicy zaczęli się

<sup>45</sup> Ten, kto *jest przekonany*, zgodnie z naukami Kopernika, że słońce nie opada za horyzontem, ciągle jednak *widzi*, że opada, a zatem jako że widzenie pociąga za sobą przekonanie pierwotne, w dalszym ciągu *wierzy*, że opada. Chodzi o to, że *przekonanie* oparte na nauce przeciwstawia się w sposób ciągły skutkom *przekonań* pierwotnych czy spontanicznych. Tak samo ortodoksyjny katolik odrzuca, zgodnie ze swą dogmatyczną wiarą, swoje własne, *autentyczne* przekonania liberalne. Ta dygresja o katoliku służy tylko jako przykład wyjaśniający sformułowaną tu przeze mnie ideę; w żadnym razie nie odnosi się do niego podstawowe zarzuty, jakie kieruję pod adresem współczesnego człowieka masowego, owego „zadufanego paniczyka”. Mają oni tylko jedną wspólną cechę. Główny mój zarzut w stosunku do „zadufanego paniczyka” to prawie całkowity brak autentyzmu w całej jego osobowości. Katolik natomiast nie jest autentyczny jedynie w niektórych fragmentach swojej osobowości. Ale i ta częściowa zbieżność jest tylko powierzchowna. Katolik nie jest autentyczny w pewnym fragmencie swej osobowości, w tym wszystkim, co - czy mu się to podoba, czy nie - jest w nim z człowieka współczesnego, *dlatego* że chce być wierny innej części swego ja, którą jest jego wiara religijna. Znaczy to, że przeznaczenie tego katolika jest samo w sobie tragiczne. Godząc się na częściową nieautentyczność, spełnia swój obowiązek. Natomiast „zadufany paniczyk” ucieka od siebie samego powodowany zwykłą zachcianką i po to właśnie, by uniknąć wszelkiej tragedii.

<sup>46</sup> Zejście na złą drogę, upodlenie się to drogi życia tych, którzy odrzucili możliwość bycia tym, kim być powinni. Ich autentyczne „ja” nie zamiera, lecz zamienia się w oskarżający cień, w widmo, które nie pozwala im ani na chwilę zapomnieć o podrzędności życia, jakie wiodą, w porównaniu z tym, jakie wieść powinni. Człowiek spodłony to żyjący samobójca.

mnożyć, można ich było spotkać na każdym rogu ulicy i we wszystkich sferach społecznych. A przecież cynicy nic innego nie robili, jak właśnie sabotowali ówczesną cywilizację. Byli nihilistami epoki hellenizmu. W nic nie wierzyli i niczego nie tworzyli. Swoją rolę sprowadzali do rozkładania cywilizacji - lub raczej - do podejmowania prób jej rozkładu, bo im także nie udało się osiągnąć swego celu. Cynik, pasożyt na łonie cywilizacji, żyje z tego, że ją odrzuca, dlatego właśnie, że jest przekonany o jej niewzruszonej trwałości. Cóż robiłby cynik wśród barbarzyńskiego ludu, gdzie wszyscy w sposób naturalny i poważny to właśnie by czynili, co on w grotesce uważa za swoje osobiste zadanie? Kim byłby faszysta, który by nie mówił źle o wolności, czy superrealista, który by nie przeklinał sztuki?

Ten typ człowieka, zrodzony w świecie zbyt dobrze zorganizowanym, który widzi dla siebie same korzyści, a jest zarazem ślepy na niebezpieczeństwa, po prostu nie potrafi zachowywać się inaczej. Jest rozpuszczony przez środowisko, w którym żyje, przez „cywilizację”. „Beniaminek”, żyjący w niej jak w domu rodzinnym, nie odczuwa żadnej potrzeby wyjścia poza własne, kapryśne „ja”, nic go nie skłania do posłuchu wobec wyższych, zewnętrznych względem siebie instancji, a już najmniej czuje się w obowiązku docierania do najgłębszych pokładów własnego przeznaczenia.

## XII

### Barbarzyństwo „specjalizacji”

Moja teza brzmi, iż człowiek masowy jest automatycznym wytworem cywilizacji XIX wieku. Dobrze byłoby teraz wyjść poza to ogólne stwierdzenie i głębiej przeanalizować mechanizm owej produkcji. Tym samym teza, konkretyzując się, stałaby się bardziej przekonująca.

Jak już mówiłem, cywilizację XIX wieku można sprowadzić do dwóch wielkich wymiarów: demokracji liberalnej i techniki. Pomówmy teraz o tym drugim. Współczesną technikę rodzi połączenie kapitalizmu z naukami eksperymentalnymi. Nie każda technika ma podstawy naukowe. Ten, kto w czasach prehistorycznych wytwarzał topory z krzemienia, niewątpliwie tworzył technikę, jakkolwiek na pewno działalność ta pozbawiona była podstaw naukowych. Starożytni Chińczycy doszli do wysokiego stopnia sprawności technicznej, nie podejrzewając nawet istnienia fizyki. Jedynie nowoczesna technika europejska tkwi swymi korzeniami w naukach teoretycznych i tym właśnie korzeniom zawdzięcza ową szczególną właściwość, jaką jest możliwość nieograniczonego rozwoju. Pozostałe techniki - jak te, które się rozwinęły w dolinach Mezopotamii i Nilu, w Grecji i w Rzymie, czy wreszcie w Azji - dochodziły zawsze w swoim rozwoju do pewnego punktu, którego nie były już w stanie przekroczyć i od momentu jego osiągnięcia zaczynały cofać się w pożałowania godnym procesie inwokacji.

Wspaniała technika Zachodu umożliwiła wspaniałe rozmnożenie się rasy europejskiej. Przypomnijmy sobie dane statystyczne, które, jak mówiłem, były dla mnie natchnieniem do napisania tego eseju, i w których w formie załączkowej zawarte są wszystkie prowadzone tu rozważania. Od wieku VI do roku 1800 Europie nie udało się uzyskać większej liczby ludności niż 180 milionów. Od roku 1800 natomiast do 1914 liczba jej mieszkańców wzrosła do 460 milionów. Jest to skok zupełnie bez precedensu w dziejach ludzkości. Nie ulega wątpliwości, iż technika - wraz z demokracją liberalną - zrodziły człowieka masowego w ilościowym tego słowa znaczeniu. Ale w tym eseju starałem się wykazać, iż są one także odpowiedzialne za istnienie człowieka masowego w jakościowym i pejoratywnym znaczeniu tego terminu.

Na samym początku uprzedzałem, iż pod słowem „masa” nie należy rozumieć wyłącznie czy przede wszystkim robotników; nie określa ono tutaj żadnej klasy społecznej, lecz pewien sposób czy rodzaj bycia człowiekiem, który można dziś dostrzec we wszystkich klasach społecznych, a zatem jest charakterystyczny dla naszych czasów i zdominował je bez reszty. Za chwilę przekonamy się o tym aż nadto wyraźnie.

Kto sprawuje dziś władzę społeczną? Kto narzuca naszej epoce swoją strukturę duchową? Bez wątpienia burżuazja. Jaka grupa w łonie burżuazji cieszy się największym uznaniem, stanowi coś w rodzaju współczesnej arystokracji? Bez wątpienia technicy: inżynierowie, lekarze, finansiści, profesorowie, itp. Kto jest tej grupy najczystszy, najdoskonalszy przedstawicielem? Bez wątpienia ludzie nauki. Gdyby jakaś pozaziemska istota odwiedziła Europę w celu wyrobienia sobie o niej sądu i zwróciła się do jej mieszkańców o wskazanie takiej grupy ludzi, z którą się najbardziej identyfikują, Europejczycy bez wątpienia z dumą i przekonani o korzystnym wyniku oceny, wskazałoby ludzi nauki. Oczywiście owa pozaziemska istota nie pytałaby o wybitne jednostki, lecz dążyłaby do poznania ogólnej zasady gatunku „człowieka nauki”, tej śmietanki społeczeństwa europejskiego.

Tak więc okazuje się, że współczesny człowiek nauki jest prototypem człowieka masowego. Nie wchodzi tu w grę jakieś szczególne przyczyny ani osobiste braki poszczególnych naukowców, po prostu sama nauka -

rdzeń cywilizacji - przemienia ich w ludzi masowych, a więc czyni z nich prymitywów, współczesnych barbarzyńców.

Jest to sprawa dobrze znana: stwierdzono to niezliczoną ilość razy; ale dopiero teraz prawda ta, umieszczona w ogólnej konstrukcji tego eseju, nabiera w pełni znaczenia i wagi.

Początek nauk eksperymentalnych przypada na koniec XVI wieku (Galileusz), stają się one w pełni nauką pod koniec XVII wieku (Newton) i zaczynają się na dobre rozwijać od połowy XVIII wieku. Rozwój jest czymś innym niż konstytuowanie się i innym podlega regułom. Tak więc ukonstytuowanie się fizyki jako nauki (mianem tym obejmujemy zbiór nauk eksperymentalnych) wymagało ujednoczenia. O to właśnie starał się Newton i jego współcześni. Ale przed fizyką, w trakcie jej dalszego rozwoju, stanęły zupełnie inne zadania, wręcz przeciwne do dążeń unifikacyjnych. Warunkiem rozwoju w nauce stała się specjalizacja ludzi nauki. Specjalizacja ludzi, ale nie samej nauki. Nauka nie jest specjalistyczna. Gdyby tak było, to *ipso facto* przestałaby być prawdziwa. Nawet nauki eksperymentalne, wzięte w całości, nie byłyby prawdziwe, gdyby je oddzielić od matematyki, logiki czy filozofii. Natomiast praca w nauce, owszem, musi być w sposób nieunikniony coraz bardziej specjalistyczna.

Bardzo ciekawe i nadzwyczaj pożyteczne byłoby opracowanie dziejów nauk fizycznych i biologicznych, ze szczególnym uwypukleniem procesu rosnącej specjalizacji badaczy. Zobaczylibyśmy wtedy, jak ludzie nauki, pokolenie za pokoleniem, coraz bardziej się rozchodzą, ograniczając się do coraz węższych zakresów pracy intelektualnej. Ale w tej historii ważniejsza jest odwrotna strona medalu, mianowicie to, że ludzie nauki, zmuszeni w każdym następnym pokoleniu do coraz większego ograniczania zakresu swojej pracy, tracą stopniowo kontakt z pozostałymi dziedzinami nauki, tracą umiejętność całościowej interpretacji wszechświata, co stanowi jedyny cel godny europejskiej nauki, kultury i cywilizacji.

Rozwój specjalizacji zaczął się dokładnie w tych czasach, które człowiekowi cywilizowanemu nadały nazwę „encyklopedycznego”. Wiek XIX rozpoczął się pod kierunkiem jednostek żyjących encyklopedycznie, chociaż wytwarzana przez nie produkcja miała już charakter specjalistyczny. W następnym pokoleniu równowaga zostaje zachwiana i specjalizacja zaczyna wypierać kulturę integralną z wnętrza człowieka nauki. Kiedy w roku 1890 trzecie pokolenie obejmuje władzę intelektualną w Europie - mamy już do czynienia z typem badacza naukowego, niespotykanym dotychczas w historii. Jest to jednostka, która z całej wiedzy, jaką należy osiąść, by być człowiekiem mądrym i inteligentnym, zna tylko jedną dziedzinę nauki, a naprawdę dobrze tylko drobny jej wycinek, będący przedmiotem jej własnej działalności badawczej. Dochodzi do tego, że za cnotę uznaje nieznanomość wszystkiego, co leży poza małym poletkiem przez nią uprawianym, a ciekawość dla całości wiedzy ludzkiej określa mianem *dyletantyzmu*.

Rzecz w tym, że człowiek, ograniczony do swego wąskiego pola widzenia, w istocie odkrywa nowe fakty, przyczyniając się do rozwoju swojej dziedziny nauki, której całość zna jedynie bardzo powierzchownie. Dorzuca w ten sposób kolejną cegielkę do encyklopedii wiedzy ludzkiej, ale jej zupełnie świadomie i programowo nie ogarnia. Jak mogło dojść do podobnej sytuacji? Należy tu raz jeszcze powtórzyć ów paradoksalny acz niezaprzeczalny fakt: nauki eksperymentalne zawdzięczają swój postęp w dużej mierze pracy ludzi absolutnie przeciętnych, a nawet mniej niż przeciętnych. Znaczy to, że współczesna nauka, podstawa i symbol naszej cywilizacji, daje schronienie i hołubi w swoim łonie ludzi intelektualnie poślednich, pozwalając im na skuteczne działanie. Przyczyna tego stanu rzeczy leży w fakcie, że główny motor rozwoju nowej nauki i całej cywilizacji, którą ona kieruje i ucieleśnia, stanowi zarazem najgroźniejsze dla niej niebezpieczeństwo. Mowa tu o mechanizacji. Olbrzymia część zadań, jakie są do wykonania w fizyce i biologii, to kwestia mechanicznych procesów myślowych, które przeprowadzić może każdy albo prawie każdy. Po to, by niezliczonym rzeszom badaczy ułatwić zadanie, można całą naukę podzielić na małe segmenty, umożliwiające zamknięcie się i odrodzenie od innych. Owo chwilowe i praktyczne rozczłonkowanie wiedzy możliwe jest dzięki stałości i dokładności metod. Za pomocą tych metod pracuje się jak przy użyciu maszyny. Po to, by otrzymać wartościowe wyniki, nie trzeba wcale znać ich sensu ani ich podstaw. Tak więc większość naukowców przyczynia się do ogólnego postępu nauki siedząc w zamkniętych komórkach swoich laboratoriów, jak pszczoły w plastrze lub jak sztucze w swoim futerale.

Ale sytuacja ta rodzi nadzwyczaj dziwny typ człowieka. Badacza, który odkrył jakieś nowe zjawisko przyrody, ogarnia siłą rzeczy poczucie wyższości i pewności siebie. W swoim mniemaniu czuje się usprawiedliwiony w tym, że uważa siebie za „człowieka, który wie”. I rzeczywiście, tkwi w nim fragment czegoś, co w połączeniu z innymi elementami, których w nim już nie ma, tworzy razem prawdziwą wiedzę. Taka więc jest sytuacja duchowa specjalisty, który w pierwszych latach tego wieku doszedł do stanu najbardziej frenetycznej przesady. Specjalista „wie” wszystko o swoim małym wycinku wszechświata, ale co do całej reszty jest absolutnym ignorantem.

Oto wspaniały przykład owego nowego człowieka, którego starałem się zdefiniować, opisując różne jego rysy i cechy. Mówiłem, iż jest to typ istoty ludzkiej nie mający w dziejach precedensu. Specjalista może posłużyć jako konkretny przykład tego gatunku, ułatwiając nam zrozumienie całego radykalizmu tej nowości. Przedtem ludzi dzieliło się w sposób prosty, na mądrych i głupich, na mniej lub bardziej mądrych i mniej lub bardziej głupich. Ale specjaliści nie można włączyć do żadnej z tych kategorii. Nie jest człowiekiem mądrym,

bo jest ignorantem, jeśli chodzi o wszystko, co nie dotyczy jego specjalności; jednak nie jest także głupcem, ponieważ jest „człowiekiem nauki” i zna bardzo dobrze swój mały wycinek wszechświata. Trzeba więc o nim powiedzieć, że jest mądro-głupi. Jest to sprawa nadzwyczaj groźna, oznacza bowiem, że człowiek ten wobec wszystkich spraw, na których się nie zna, nie przyjmuje postawy ignoranta, lecz wręcz przeciwnie, traktuje je z wyniosłą pewnością siebie kogoś, kto jest uczony w swej specjalnej dziedzinie. I w istocie tak właśnie zachowuje się specjalista. Wobec polityki, sztuki, obyczajów społecznych i towarzyskich, a także wobec innych nauk przyjmuje postawę najgłupszego prymitywa; ale robi to z przekonaniem i pewnością siebie, nie dopuszczając - i to jest rzecz paradoksalna - możliwości istnienia specjalistów w tamtych dziedzinach. Cywilizacja, czyniąc go specjalistą, spowodowała zarazem to, że w pełni z siebie zadowolony zamknął się hermetycznie we własnej ograniczoności; a z kolei wewnętrzne poczucie zadufania i własnej wartości prowadzi go do tego, iż pragnie dominować także w dziedzinach nie mających nic wspólnego z jego wąską specjalizacją. Rezultat jest taki, iż mimo że w swojej specjalności osiągnął najwyższe kwalifikacje - specjalizację - a więc cechę wręcz przeciwną do tych, które charakteryzują człowieka masowego, to jednak we wszystkich innych dziedzinach życia zachowuje się jak pozbawiony wszelkich kwalifikacji człowiek masowy.

Nie jest to sprawa błaha. Każdy, kto chce, może zauważyć, jak głupio dziś myślą i postępują w takich sprawach jak polityka, religia, lub gdy w grę wchodzi ogólnie problemy życia i świata, „ludzie nauki” i oczywiście, za ich przykładem, lekarze, inżynierowie, finansisci, nauczyciele, itp. Ta postawa „niesłuchania”, niepodporządkowywania się żadnym instancjom wyższym, która, jak już wielokrotnie powtarzałem, cechuje człowieka masowego, osiąga szczyty właśnie u tych ludzi częściowo wykwalifikowanych. Oni to symbolizują obecne imperium mas, które z nich w znacznej mierze się składa, a ich barbarzyństwo jest najbardziej bezpośrednią przyczyną demoralizacji Europy.

Z drugiej strony stanowią najjaskrawszy i najdoskonalszy przykład tego, jak cywilizacja zeszłego wieku *pozostawiona własnym skłonnościom* spowodowała odrodzenie się prymitywizmu i barbarzyństwa.

Najbardziej bezpośrednim wynikiem tej *niczym nie kompensowanej* specjalizacji jest to, że obecnie, kiedy mamy na świecie więcej „ludzi nauki” niż kiedykolwiek przedtem, mamy też znacznie mniej ludzi „kulturalnych i wykształconych” niż np. w roku 1750. Najgorsze jest to, że te naukowe pszczoły nie gwarantują nawet postępów samej nauki. Postęp w nauce wymaga tego, by od czasu do czasu, w ramach organicznej regulacji wzrostu, podsumować osiągnięte wyniki. Staje się to coraz trudniejsze, ponieważ ogarniać trzeba coraz to szersze dziedziny ogółu wiedzy. Newton mógł stworzyć system fizyki, nie mając zbyt wielkiego pojęcia o filozofii, ale Einstein, by móc stworzyć teoretyczną syntezę, musiał najpierw przesiąknąć Kantem i Machem. Kant i Mach - nazwiska te tylko symbolizują cały ogrom myśli filozoficznej i psychologicznej, która wywarła wpływ na Einsteina - posłużyli do *uwolnienia* umysłu, otwierając Einsteinowi drogę do nowych teorii. Ale Einstein nie wystarczy. Fizyka wkracza w okres najgłębszego w swych dziejach kryzysu, a uratować ją może tylko nowa encyklopedia, bardziej systematyczna od pierwotnej.

Tak więc specjalizacja, dzięki której możliwy był rozwój nauk eksperymentalnych w ciągu całego wieku, dochodzi obecnie do momentu, od którego sama z siebie nie będzie już mogła postępować naprzód.

Chociaż specjalista nie zna zasad fizjologii wewnętrznej nauki, którą sam uprawia, to jednak jeszcze głębsza i groźniejsza jest jego ignorancja w zakresie dziejowych warunków przetrwania, czyli co do tego, jak powinny być zorganizowane społeczeństwa, a także wewnątrz człowieka, by na świecie w dalszym ciągu istnieć mogli naukowcy. Zmniejszenie się liczby chętnych do podejmowania pracy naukowej - o czym już wspominałem - jest symptomem budzącym zaniepokojenie wszystkich tych, którzy mają jasne wyobrażenie o tym, czym jest cywilizacja. Brakuje owej idei na ogół typowym „ludziom nauki”, śmiertance naszej cywilizacji. Oni także wierzą, że cywilizacja *jest czymś zastanym*, odwiecznym i prostym jak skorupa ziemiska i pierwotna puszcza.

### XIII

## Państwo - największe niebezpieczeństwo

Tam, gdzie istnieje porządek w sprawach publicznych, masa jest tym, co nie działa samo przez się. Taka jest jej misja. Pojawiła się w świecie po to, by nią kierowano, by na nią wpływano, by ją reprezentowano, by ją organizowano - a nawet po to, by przestać być masą czy przynajmniej do tego celu zmierzać. Ale nie przyszła na świat po to, by to wszystko miała robić sama z siebie. Życie swoje musi odnosić do instancji nadrzędnych, jakimi są doskonalsze mniejszości. Można do woli dyskutować, jacy ludzie są doskonalsi; ale fakt, że bez nich - czy nimi będą ci czy tamci - ludzkość nie istniałaby w tym, co dla niej najistotniejsze, nie powinien dla nikogo ulegać wątpliwości. Europa już od przeszło wieku stara się, chowając jak struś głowę w piasek, nie dostrzegać tej oczywistej prawdy. Sąd ten nie jest bowiem oparty na mniej lub bardziej powszechnych czy

prawdopodobnych faktach, lecz na prawie „fizyki” społecznej, znacznie bardziej niewzruszonym niż prawa fizyki Newtona. Tego dnia, kiedy w Europie znowu zapanuje autentyczna filozofia<sup>47</sup> - jedyna rzecz, która może ją uratować - ludzie zaczną sobie znowu zdawać sprawę z tego, że człowiek - niezależnie od tego, czy ma na to ochotę, czy nie - jest istotą, która ma wręcz organiczną potrzebę poszukiwania jakiejś wyższej instancji. Jeśli uda mu się samemu ją odnaleźć, okaże się, że jest człowiekiem doskonalszym; jeśli nie, okaże się człowiekiem masowym, któremu ktoś musi ją podsunąć.

Tak więc zachęcanie mas, by działały same z siebie, jest równoznaczne z buntowaniem ich przeciw ich własnemu przeznaczeniu, a ponieważ to właśnie obecnie ma miejsce, dlatego mówię o buncie mas. Bo w ostatecznym rachunku naprawdę i zgodnie z istotą rzeczy buntem można nazwać coś, co polega nie na akceptacji własnego przeznaczenia, ale na zbuntowaniu się przeciw sobie samemu. Dokładnie rzecz biorąc, takim samym buntem ze strony archanioła Lucyfera upierającego się przy tym, że jest równy Bogu, byłoby obstawanie przy tym, że jest najbardziej podrzędnym aniołem, jako że ani to, ani tamto nie było jego przeznaczeniem. (Gdyby Lucyfer był Rosjaninem jak Tolstoj, to może wolałby obrać tę ostatnią drogę buntu, tak samo skierowaną przeciwko Bogu, choć nie tak sławną jak ta pierwsza).

Kiedy masa zaczyna działać sama przez się, czyni to w jeden tylko sposób, bo innego nie zna: linczuje. Nie jest sprawą zupełnego przypadku, że prawo linczu zrodziło się właśnie w Ameryce, która jest w pewnym sensie rajem mas. Jeszcze mniej powinno nas dziwić to, że dzisiaj, kiedy masy triumfują, triumfuje także gwałt i czyni się z niego jedyną *ratio*, jedyną doktrynę. Od dawna już obserwuję rosnącą tendencję do uznawania przemocy za normę.<sup>48</sup> Obecnie osiągnęła ona moment maksymalnego rozwoju, co jest objawem pocieszającym, oznacza bowiem, że teraz automatycznie zacznie się jej powolny regres. Dziś gwałt jest już retoryką naszych czasów, przyswoili go sobie retorzy i demagogowie. Kiedy jakaś ludzka rzeczywistość wypełni swą misję dziejową, rozbije się o skały i zginie, to fale wyrzucają ją na brzeg retoryki, gdzie jej martwe szczątki na długo jeszcze znajdują schronienie. Retoryka to cementarz ludzkich rzeczywistości, w najlepszym zaś razie - przytułek dla inwalidów. W życiu rzeczywistym pozostaje jej nazwa, która jakkolwiek jest tylko słowem, to jednak jest słowem, które zawsze zawiera w sobie jakąś moc magiczną.

Mimo iż jest to zupełnie prawdopodobne, że prestiż gwałtu jako cynicznie ustalonej normy zaczyna się zmniejszać, to jednak w najbliższej przyszłości będziemy w dalszym ciągu pod jego panowaniem, aczkolwiek przybierze może inną postać.

Mam tu na myśli największe niebezpieczeństwo, jakie dzisiaj zagraża cywilizacji europejskiej. Tak samo jak wszystkie inne niebezpieczeństwa, które jej dziś zagrażają, również i to z niej właśnie wzięło swój początek. Nawet więcej: jest jednym z jej najdumniejszych osiągnięć; mam tu na myśli współczesne państwo. Mamy więc do czynienia z repliką tego samego zjawiska, o którym wspominaliśmy już w poprzednim rozdziale, kiedy mowa była o nauce: płodność zasad, na których się ona opiera, sprawia, że możliwy staje się wspaniały postęp, ten zaś w sposób nieunikniony prowadzi do specjalizacji, która z kolei grozi zdławieniem nauki.

To samo odnosi się do państwa. Przypomnijmy sobie, czym dla narodów europejskich było państwo z końca XIII wieku. Czymś bardzo mało istotnym. Rodzący się kapitalizm i jego organizacje przemysłowe, w których po raz pierwszy triumfowała technika - ta nowa, zracjonalizowana, spowodowały początkowo rozrost społeczeństwa. Pojawiła się nowa klasa społeczna - burżuazja, od klas już istniejących potężniejsza zarówno pod względem liczebności, jak siły. Owa prężna i bezczelna burżuazja miała przede wszystkim i nade wszystko jeden dar: talent, talent praktyczny. Umiała organizować, porządkować i nadawać swoim wysiłkom trwałą kształt. Unoszona przez nią, jak przez ocean, płynęła majestatycznie „nawa państwowa”. Nawa państwowa to metafora odświeżona przez burżuazję, która sama czuje się jak ocean, wszechmocna i brzemienne w burze. Dotychczas owa nawa była niczym albo czymś zupełnie nieistotnym, dysponowała niewielką liczbą żołnierzy, kilkoma urzędnikami i bardzo ograniczoną ilością pieniędzy. Stworzona została w średniowieczu przez klasę bardzo różną od burżuazji: przez szlachtę, godną podziwu przez wzgląd na jej odwagę, dar rządzenia, poczucie odpowiedzialności. Bez niej nie byłoby współczesnych narodów europejskich. Jednakże, pomimo wszelkich owych zalet serca, szlachta w swych działaniach nie kierowała się nigdy rozumem. Z innego podłoża czerpała soki życiowe. Inteligencja ludzi szlachetnie urodzonych była bardzo ograniczona, kierowali się raczej uczuciami, instynktem, intuicją, krótko mówiąc byli ludźmi „irracjonalnymi”. Dlatego też nie byli w stanie rozwinąć jakiegokolwiek techniki, rzeczy, która wymaga racjonalności. Nie wymyślili prochu. Męczyło ich to i nudziło. Sami niezdolni do wynalezienia nowej broni, zostawili burżuazji wynalazek prochu, niezależnie od tego, jakie było jego pochodzenie, ze Wschodu czy skądkolwiek indziej; niejako automatycznie umożliwili jej tym samym odnośnię zwycięstw nad szlachetnie urodzonym wojownikiem, nad „rycerzem”, idiotycznie zakutym w żelazo, w którym zaledwie mógł się poruszać na siodle i któremu nawet do głowy nie przyszło, że odwiecznym

<sup>47</sup> Po to, by zapanowała filozofia nie potrzeba wcale, by władze sprawowali filozofowie - jak tego początkowo chciał Platon, ani też by władcy filozofowali - jak sobie z większą już skromnością tego życzył potem. Urzeczywistnienie się obu tych możliwości byłoby jak najbardziej zgubne. Do tego, by filozofia panowała, wystarczy, by ją uprawiano, to jest, by filozofowie byli filozofami. Od mniej więcej stu lat filozofowie są wszystkim, tylko nie tym - są politykami, pedagogami, literatami albo też „ludźmi nauki”.

<sup>48</sup> Patrz *Espana invertebrada* (wyd. I, 1921).

sekretem sukcesów wojennych jest nie tyle doskonałość środków obrony, co raczej środków agresji (dla nas ów sekret ponownie odkrył Napoleon).<sup>49</sup>

Państwo to technika, technika utrzymywania porządku publicznego i administracji, natomiast dawny ustrój końca XVIII wieku doprowadził do tego, że państwo ze wszystkich stron nadszarpywane przez rozrastające się i zrewoltowane społeczeństwo stało się niebywale słabe. Dysproporcja pomiędzy władzą państwa a władzą sprawowaną przez społeczeństwo była wtedy taka, że jeśli ówczesną sytuację porównać z sytuacją w czasach Karola Wielkiego, to łatwo zauważyć, iż państwo z XVIII wieku reprezentowało stadium degeneracji. Oczywiście państwo Karola Wielkiego było słabsze od państwa Ludwika XVI, tyle tylko, że społeczeństwo w okresie Karolingów nie reprezentowało jeszcze żadnej siły.<sup>50</sup> Olbrzymia różnica poziomów pomiędzy siłą społeczeństwa a mocą władzy publicznej umożliwiła Rewolucję oraz rewolucje do roku 1848.

Wraz z Rewolucją władza publiczna przeszła w ręce burżuazji, która w kierowaniu państwem znalazła zastosowanie dla swych niezaprzeczalnych cnót, dzięki czemu w ciągu życia zaledwie jednego pokolenia udało jej się stworzyć potężne państwa, które skończyły z rewolucjami. Od roku 1848, to znaczy od momentu, kiedy władzę przejęło drugie pokolenie rządów burżuazyjnych, nie było już w Europie prawdziwej rewolucji. I to na pewno nie dlatego, że nie było po temu powodów, lecz dlatego, że nie było środków. Władza publiczna złała się w jedno z władzą społeczną. Od tej chwili *żegnajcie już na zawsze rewolucje!* Teraz możliwe jest w Europie już tylko przeciwieństwo rewolucji, mianowicie zamach stanu. Od tej chwili wszystko, co przybierało szaty rewolucji, było po prostu zamaskowanym Zamachem Stanu.

Państwo w naszych czasach stało się dzięki skuteczności licznych, precyzyjnie działających środków będących w jego dyspozycji, wspianą, doskonale funkcjonującą maszyną. Ponieważ tkwi ono we wnętrzu społeczeństwa, wystarczy nacisnąć jedną sprężynę, by uwolnić dźwignie i puścić w ruch potężne mechanizmy, które zaczynają natychmiast skutecznie oddziaływać na określony fragment społecznego organizmu.

Współczesne państwo jest najbardziej rzucającym się w oczy i najszerzej znanym wytworem cywilizacji. Rzeczą nadzwyczaj interesującą jest obserwowanie postawy, jaką wobec państwa przyjmuje człowiek masowy. Widzi je, podziwia je, wie, że jest *czymś zastanym*, zapewniającym mu bezpieczne życie; ale nie zdaje sobie sprawy z tego, iż jest to twór ludzki, przez pewnych ludzi wymyślony i oparty na pewnych założeniach i cnotach, które niegdyś w ludziach tkwiły, a które jutro mogą z nich wyparować. Z drugiej strony, człowiek masowy widzi w państwie anonimową władzę, a ponieważ sam czuje się istotą anonimową, pospolitą, wierzy, iż państwo jest czymś, co do niego należy. Przypuśćmy, że w życiu publicznym jakiegoś kraju pojawiają się trudności czy konflikty; człowiek masowy domaga się natychmiast, by państwo się tym zajęło, by bezpośrednio, za pomocą będących w jego dyspozycji potężnych środków rozwiązywało wszelkie problemy.

To właśnie jest największe niebezpieczeństwo, jakie dziś zagraża cywilizacji: upaństwowienie życia, interwencjonizm państwowy, wchłonięcie przez państwo wszelkiej społecznej spontaniczności; wszystko to oznacza unicestwienie historycznej żywiołowości, która w ostatecznym rachunku utrzymuje, żywi i popycha naprzód ludzkie przeznaczenie. Dla masy, która napotkała jakieś trudności czy po prostu rozbudziła w sobie przemożny apetyt na coś, wielką pokusę stanowi owa stała i pewna możliwość zdobycia wszystkiego - bez wysiłku, walki, wątpliwości czy ryzyka - za naciśnięciem sprężyny puszczającej w ruch cudowną maszynę. Masa powiada: „Państwo to ja”, a to jest całkowitym błędem. Państwo jest masą jedynie w tym sensie, w jakim można powiedzieć o dwu ludziach, że są identyczni, ponieważ ani jeden, ani drugi nie ma na imię Jan. Współczesne państwo i masę łączy jedynie ich anonimowość. Rzecz jednak w tym, że człowiek masowy rzeczywiście wierzy w to, że państwo to on, i coraz usilniej dąży do tego, by za jego pomocą niszczyć pod jakimkolwiek pretekstem wszelkie twórcze mniejszości, które mu przeszkadzają, i to we wszystkich dziedzinach życia, w polityce, ideologii, przemyśle.

Rezultaty tych dążeń okazały się fatalne. Społeczna żywiołowość będzie stale łamana przez interwencję państwa; nie będzie mogło zakiełkować żadne nowe ziarno. Społeczeństwo będzie musiało żyć *dla* państwa; człowiek *dla* maszyny rządowej. Jednak w ostatecznym rachunku państwo jest tylko maszyną, której istnienie i utrzymanie uzależnione jest od otaczających ją żywych osobników. Kiedy zatem wyssie ze społeczeństwa

<sup>49</sup> Ten uproszczony obraz wielkiej historycznej zmiany, polegającej na zastąpieniu przewagi szlachty przez panowanie burżuazji, zawdzięczamy Rankemu; jest jednak rzeczą oczywistą, że jego symboliczna i schematyczna prawda wymaga wielu uzupełnień, by w pełni być prawdziwą. Proch znany był ludziom od niepamiętnych czasów. Wynalazek ładowania i odpalania z lufy zawdzięczamy jakiemuś Lombardeczykowi. Ale to także nie zapewniało skuteczności, dopóki nie wynaleziono odlewanej z metalu kuli. „Szlachetnie urodzeni” używali broni palnej, w pewnych, niewielkich ilościach, ale była ona za droga. Dopiero wojska burżuazyjne, ekonomicznie lepiej zorganizowane, mogły używać jej na większą skalę. Poza tym nie ulega wątpliwości, że szlachta reprezentująca wojsko typu średniowiecznego została ostatecznie pokonana przez nowe wojsko, nie zawodowe, lecz burżuazyjne, jakiego doskonałym przykładem byli Szwajcarzy. Ich podstawowa siła polegała na nowego typu dyscyplinie i nowej racjonalizacji taktyki.

<sup>50</sup> Należy tu mocno podkreślić fakt, że europejskie monarchie absolutne opierały się w swym działaniu na bardzo słabych państwach. Jak to wytłumaczyć? Społeczeństwa tych państw zaczynały się już rozrastać i umacniać. Dobrze, ale jeżeli państwo było wszechmocne (władza była przecież „absolutna”), dlaczego nie potrafiło umocnić samo siebie? Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy już wymieniliśmy, była nią techniczna, biurokratyczna i organizacyjna nieudolność arystokracji krwi. Ale to jeszcze nie wszystko. Poza tym *arystokracje* w państwie absolutnym *nie chciały wzmocnić państwa kosztem praw społeczeństwa*. Wbrew temu, co się na ogół sądzi, państwa absolutne instynktownie szanowały społeczeństwo w znacznie większym stopniu niż nasze państwa demokratyczne, inteligentniejsze, ale o znacznie mniejszym poczuciu historycznej odpowiedzialności.

ostatnią kroplę krwi, zniszczy zarazem samo siebie; pozostanie po nim martwy szkielet, zmarły zardzewiałą śmiercią maszyn, jeszcze bardziej trupią niż śmierć organizmów żywych.

Taki właśnie był smutny koniec cywilizacji starożytnej. Nie ulega wątpliwości, że imperium stworzone przez Juliuszy i Klaudjuszy było wspaniałą machiną, bez porównania bardziej doskonałą od dawnego republikańskiego państwa patrycjuszy. Ale - dziwnym zbiegiem okoliczności - zaledwie zdążyło osiągnąć szczyt swojego rozwoju, już zaczęło psuć się i marnieć jego społeczeństwo. W czasach Antoniuszy (II wiek) ucisk Państwa zaczyna wyniszczać społeczeństwo, które popada w niewolę, zmuszone żyć jedynie w  *służbie państwa*. Całość życia ulega biurokratyzacji. Co się teraz dzieje? Biurokratyzacja życia powoduje jego zupełny upadek - i to we wszystkich dziedzinach. Ludność ubożeje, kobiety rodzą coraz mniej dzieci. W tej sytuacji państwo dla zaspokojenia ich potrzeb jeszcze bardziej usztywnia formę biurokratyzacji. Następnym etapem jest militaryzacja społeczeństwa. Najważniejszym organem państwa jest jego aparat wojenny, jego wojsko. Państwo jest przede wszystkim gwarantem bezpieczeństwa (to bezpieczeństwo, jak pamiętamy, rodzi ludzi masowych). Dlatego też państwo to w pierwszym rzędzie wojsko. Pochodzący z Afryki Sewerowie militaryzują świat. Próżne to jednak wysiłki! Rośnie nędza, płodność kobiet maleje z każdym dniem. Brakuje już nawet żołnierzy. Po zakończeniu panowania Sewerów do wojska trzeba już było zaciągać cudzoziemców.

Jaki jest więc ten paradoksalny a zarazem tragiczny proces rozwoju państwowości? Społeczeństwo dla zapewnienia sobie lepszego życia tworzy narzędzie w postaci państwa. Potem państwo przyjmuje władzę i społeczeństwo musi żyć dla państwa<sup>51</sup>. Mimo wszystko na państwo składają się członkowie tego społeczeństwa. Wkrótce jednak nie wystarcza ich już do utrzymania państwa i trzeba odwołać się do cudzoziemców: początkowo Dalmatyńczyków, a potem Germanów. Władza w państwie przechodzi w ręce cudzoziemców, a resztki społeczeństwa, narodu, który to państwo stworzył, służyć muszą cudzoziemcom, ludziom, z którymi nie mają nic wspólnego. Do tego doprowadził interwencjonizm państwa: lud stał się mięsem i ciastem, które żywi i utrzymuje w ruchu machinę państwa. Szkielet pożera otaczające go ciało. Kościotrup staje się właścicielem i mieszkańcem domu.

Jeśli się już wie to wszystko, ogarnia człowieka przerażenie, kiedy Mussolini histerycznym wrzaskiem ogłasza jako wspaniałe odkrycie wprowadzaną obecnie we Włoszech zasadę - *wszystko dla Państwa; nic poza Państwem; nic przeciwko Państwu*. Już to samo wystarczy, by rozpoznać w faszyzmie typowy ruch ludzi masowych. Mussolini objął państwo doskonale zorganizowane, lecz nie przez niego, a przez te właśnie siły i idee, które zwalczał, tj. przez liberalną demokrację. Sam ogranicza się do posługiwania się gotowym instrumentem i chociaż nie zamierzam tu oceniać jego szczegółowych posunięć, jest sprawą niewątpliwą, iż rezultatów, jakie dotychczas udało mu się osiągnąć, nie można nawet porównywać z tymi, jakie w politycznym i administracyjnym funkcjonowaniu udało się osiągnąć państwu liberalnemu. Jeśli nawet udało mu się jakieś sprawy rozwiązać, to są to kwestie tak drobne i mało istotne, iż w żadnym razie nie usprawiedliwiają zgromadzenia nadzwyczajnych środków władzy, która pozwoliłaby mu na używanie maszyny państwowej w tak krańcowy sposób.

Etatyzm to najwyższa forma przemocy i akcji bezpośredniej, przetworzonych w normę. Masy za pośrednictwem anonimowej maszyny państwa działają same przez się.

Narody Europy mają teraz przed sobą okres wielkich trudności wewnętrznych, problemów ekonomicznych, prawnych oraz innych, związanych z utrzymaniem porządku publicznego. Jak się tu nie lękać o to, że pod panowaniem mas państwu może zostać zlecone zadanie zniesienia niezależności jednostek czy grup, a tym samym ostateczne zaprzepaszczenie nadziei na przyszłość?

Konkretnym przykładem działania tego mechanizmu jest jedno z najbardziej alarmujących w ostatnim trzydziestoleciu zjawisk, a mianowicie: olbrzymi wzrost sił policji, który daje się zauważyć we wszystkich krajach Europy. Nieuniknioną tego przyczyną jest wzrost liczebności społeczeństwa. Choć wydaje nam się to rzeczą zupełnie naturalną, jednak nie powinniśmy tracić z pola widzenia straszliwego paradoksu, jakim jest to, że ludność współczesnego dużego miasta, aby się po nim spokojnie poruszać i załatwiać swoje codzienne sprawy, potrzebuje, i to w sposób nieunikniony, kierującej ruchem policji. Ale jedynie niewinna naiwność ludzi „porządkowych” każe im wierzyć, że owe „siły porządkowe” stworzone po to, by utrzymywać porządek, zadowolą się na zawsze pilnowaniem tego, by zachowywane były ustalone przez nich reguły. Kończy się to zawsze i w sposób nieunikniony tym, że „siły porządkowe” same określają i rozstrzygają, jak ten porządek ma wyglądać; oczywiście, bo jakże by inaczej, okazuje się, iż ma on być taki, jaki jest dla nich wygodny.

Dobrze by tu może było, skoro już mowa o tych sprawach, zwrócić uwagę na różne reakcje społeczeństw na pewne publiczne potrzeby. Kiedy około 1800 roku w związku z rodzącym się przemysłem pojawił się nowy, bardziej kryminogenny typ człowieka, czyli robotnik przemysłowy, Francja stworzyła natychmiast potężną policję. Z tych samych powodów, około 1810 r. wzrosła znacznie przestępczość w Anglii, a wówczas Anglicy zdali sobie nagle sprawę z tego, że policji nie mają. W tym czasie rządili krajem konserwatyści. I cóż robią? Tworzą policję? Nic z tych rzeczy. Wolą, możliwie jak najdłużej, sami jakoś znosić kłopoty związane z przestępczością. „Ludzie decydują się pozostawić w swym życiu miejsce na nieporządek, traktując to jako cenę

<sup>51</sup> Przypomnijmy tu ostatnie słowa Septimiusza Sewera skierowane do synów: „Trzymajcie się razem, płacicie żołnierzom i niczym innym się nie przejmujcie”.

wolności”. „W Paryżu - pisze John William Ward – mają wspaniałą policję, ale drogo za to płacą. Wolę obejrzeć raz na trzy, cztery lata pół tuzina egzekucji na Radcliffe Road, niż znosić domowe wizyty funkcjonariuszy policji, szpiegowanie i inne rozliczne machinacje Fouchego”<sup>52</sup>. Są to dwa różne pojęcia państwa. Dla Anglika kompetencje państwa powinny mieć swoje granice.

---

<sup>52</sup> Patrz Elie Halevy, *Histoire du peuple anglais au XIX-e siecle*, Paris 1912, t-1, s. 40.